



# wintro

kornel maliszewski



**wintro**  
**kornel maliszewski**

© Copyright Kornel Maliszewski

Skład, treść: Kornel Maliszewski  
Projekt okładki: Katarzyna Janota

 **mamiko**

Nowa Ruda 2011

## Pożegnanie domu rodzinnego

Gdy ojciec ukradł moje ciężko zarobione pieniądze, które chowałem głęboko w szafie, a matka pijana w sztok robiła striptiz na oknie: dla mnie, moich kolegów i reszty ulicy, uznałem, że to koniec. Nie było za wiele mieszkań w moim małym mieście. Wolne jamy zajmowały ludzkie szczyry. Przygarbione, w ubraniach zrobionych ze starych żagli. Nie mówiące już za wiele, spijające wódkę sączącą się z dachów, zapuszczonych ścian, gnijących lamperii. Na jedno mieszkanie przypadało wiele bezdomnych twarzy, ale miałem nad nimi przewagę, miałem jeszcze pliczek pieniędzy,

Mieszkanie wynająłem od ryżego grubasa. Było z tych, które zaczynają się kuchnią, potem są dwa pokoje, jeden większy, drugi mniejszy, a przy okazji gdzieś chowa się łazienka, gdzie jest kilka brudnych wiader, nie ma żarówki, a klosz jest zbity. Jedyną rzecz, którą polubiłem od razu, to stara żeliwna wanna, bardzo wysoka i zimna, jakby przygotowana specjalnie dla trupów – gdy poczujesz w sobie chęć, będzie czekać i przyjmie cię w swoje zimne wargi, nie będzie stroić min, wypominać, krytykować, rozliczać, tylko po prostu chłodno, po raz ostatni, cię ucałuje i zamknie powoli powieki. Wanna została po Niemcach. Gdy Polacy przybyli ze Wschodu, jeszcze ze słomką w ustach, bali się niemieckich wanien. Trzymali w nich świniaki, ale za nic nie wzięliby w nich kąpieli.

Zrzuciłem w kuchni plecak i torby, nalałem zimnej wody, bo miałem mieć tylko taką i od razu zanurzyłem się wannie, do której w przyszłości uciekałem jeszcze wiele razy. Był to mój taki prywatny stateczek, u-boot. Zamknęłam oczy i widziałem nasze miasto w słońcu, po ulicach krążyły okrągły uśmiech, dzieci zjadały tysiące gałek lodów, a dorośli mieszkańcy szybowali na lotniach nad budynkami, talerzami satelitarnymi, dymami z kominów. Gdy przelatywali nad grupą dzieci, one śmiały się, krzycząc: „zobacz, mamucha leci!” i machały zawzięcie, dopóki całkiem nie ścierpły im ręce.

Ściany nie były w najlepszej kondycji. Lekko osmolone, jak w kurnej chacie, pomazane tysiącem tajemniczych rysunków, wyskrobane nożami, cyrklami, nie obciętymi paznokciami. Rysunki tworzyły konstelacje, historie, siatki zdarzeń. Gdyby się rozpędzić, może zaczęłyby wyświetlać się poklatkowo i zobaczyłbym film poprzednich lokatorów, może nawet niemiecką gimnastykę i marszrutę. To było niczym znaleziony aparat fotograficzny, z którego wywołałoby się zdjęcia i zobaczyło historię całkiem obcych ludzi. Kilka znaków przypominało mi sygnatury tajnych stowarzyszeń, niektóre były wymalowane jakby walońską ręką na skalnej ścianie.

Następnego dnia wstałem z werwą i poszedłem kupić białą farbę. Nie chciałem za wszelką cenę odrywać się od historii ze ścian, jednak niektóre znaki budziły we mnie niepokój. Chciałem zaprowadzić swój porządek i ład, ale czułem, że nigdy się to nie uda. Nic na tym świecie nie może być tak naprawdę na własność.

Malowałem zawzięcie. Chłapałem białą farbą. Zaraz miałem białe stopy i twarz. Szczyrzyłem się, jak dzikus tańczący przy ognisku, do dzieci przechodzących na ulicy poniżej. Odpowiadały, śmiejąc się albo złorzecząc. Po całym dniu roboty mieszkanie wyglądało na nowe i poczułem lekkie zadowolenie, lecz wciąż niepokoiło mnie kilka szafek znajdujących się w małym pokoju. Były w nich dwa stare tomy, kolorowanki dziecięce i zapisany niewielki zeszyt. Starałem się odczytać poszczególne fragmenty, wyłapałem tylko historie dwóch zwierząt, nietoperza i jaszczurki. Zdawało mi się, że jest kilka kawałków o karuzeli, kolorowych lustrach, szklanych paciorkach, które brzęczą, wprowadzając stwory w duży niepokój. Kolorowanki były standardowe. A tomy okazały się powojennymi słownikami języka polskiego. Kilka haseł podkreślono. Na przykład: „heblować, fedrować, krąg, szczelina”. Nic więcej po starych lokatorach nie znalazłem, oprócz kilku bandaży, strzępków gazet i kupek trocin.

Zdarza się nam przeceniać pierwsze sny w nowym miejscu. Dochodzi do nadinterpretacji. Nie chciałem temu ulegać. Siedziałem w małym areszcie i bałem się w nim śnić. Wydawało mi się, że w życiu chodzi o to, aby być zamykanym, a potem uwalnianym, i że izolacja służy integracji. W urwanych obrazach widziałem dziewczynkę. Była drobna, ale mało-

wała się, aby nabrać kobiecych kształtów. Wychodziła z domu jak dumny paw, a później odwiedzała różne miejsca, ale wszędzie zostawiała skórę jak wąż. Stawała się coraz brzydsza i wytarta. Zamieniła się w całe miasto, mówiła parkiem, las podpięty był pod USB i korzystał z klawiatury. Obudziły mnie obrazy spadających kamieni i czerwone niebo, które odczułem cierpkim zastrzykiem w kark, chciało mi się wymiotować.

Kolejny ranek przywitał mnie mżawką. Dymy z opon przenosiły małe deszczowe chmurki, aby je zatruć. Drobinki wody instalowały się w kocich łbach, aby tam przezimować i kiedyś zamienić się przez piasek. Ludzie byli ubrani dziwnie. Łączyli bawełnę z sztucznymi chińskimi wynalazkami. Zupełnie się tym nie przejmowali, brnęli nie wiadomo gdzie, część z nich przygnieciona była workami, w których pewnie nie było prezentów.

Otworzyłem szerzej oczy i spostrzegłem, że ściany nie są już białe, tylko zielone. Przetarłem twarz rękawem, ale kolor za nic nie chciał się zmienić. Łazienka wydawała mi się mniejsza, w kuchni zauważyłem kilka pęknięć. Chciałem przespać te zmiany, ale gdy się obudziłem, wszystko wciąż było zielone.

Nie mogłem sobie przypomnieć, czy malowałem mieszkanie. Postanowiłem wezwać kogoś do pomocy, mężczyznę, który maluje na co dzień, on pewnie tego nie spieprzy. Malarz pokojowy znalazł się na tej samej ulicy i dziarsko wziął się do roboty. Trochę się go obawiałem, bo gdy byłem mały, myślałem, że każdemu malarzowi akwareliście po czasie odpierała, pisze „Mein Kampf” i chce kasować ludzi w piecach. To może ta skłonność do barw, przykrywanie jedna drugą, przemalowanie starego świata na nowy świat. Przecież sam tego chciałem.

Wezwany malarz okazał się wesoły, przyniósł małe radyjko, podśpiewywał, zmieniając angielskie przeboje na polskie oraz wypowiadał rzeczy typu: „kibel to nie raj, nie wal konia, tylko sraj”. Musiałem się z tym pogodzić, smętnie siedziałem na krzeselku i patrzyłem, jak pracuje. Wpadło mi do głowy, aby odwiedzić sąsiadów, pogadać, może pozbierać historie, coś o nich napisać. Zawsze chciałem uwiecznić całe miasto. Każdy miałby w moim domu swój kącik, kilka własnych zdarzeń, sytuacji, przygód, porażek, a czasem zwycięstw. Myślałem też o pożegnaniu z rodzicami

sprzed kilku dni. Chyba powinienem czulej ich pożegnać. To było tylko podanie dłoni i proste *cześć*. Już nie wiedziałem, kto kogo opuszcza. Kto jest gniazdem, a kto ptakiem. Ciekawe, jak oni przywitali mnie w życiu? Czyżby było to podanie ręki i tylko *cześć mały*, a potem powrót do swoich spraw? Nie chciałem jednak niczego naprawiać. Wpuszczali swój bezczelny jad, a czara goryczy się przelała.

Pożegnałem się z malarzem. Był wieczór. Zdecydowanie lepiej odwalił robotę niż ja. Żadnych smug, zanieczyszczeń, gówna. Czuję się otoczony przez śnieg, tylko wziąć sanki i jeździć po ścianach do utraty tchu.

Zapukałem do pierwszych drzwi. Żadnego odzewu. W drugich przywitał mnie zasuszony dziadek. Spragnione życie wyssało z niego wszystkie soki i mówił, jakby pluł trocinami, walczył z dwoma kamieniami, które przesuwają mu się w gardle. Patrzyłem na jego żylaste stopy, nie wiedziałem, co to było. Nie były już ludzkie, należały do innego świata, a on siedział na kanapie i opowiadał o wojnie, ale zdarzały się też inne smaczki.

– Musieliśmy się tu zatrzymać, bo most był wysadzony. Trzeba było. Ja chciałem gdzieś indziej, coś mi się tu nie podobało. Pachniało tak, jakby siarką, ale kiedy ty w życiu możesz tak naprawdę wybierać? Nawet baby nie mogłem sobie wybrać, bo wybrała pijana głowa. Hocki klocki, noc była miła, ale rano, jak wyszło słońce, nie byłem już taki zadowolony, ale jej ojciec był nieustępliwy. Patrzyłem na tę jej puchnącą kulę ziemską, a on tylko wrzeszczał „żeńić się, żenić się, ale już” i walił pięścią w drugą otwartą dłoń – stary mężczyzna musiał na chwilę odsapnąć, rozkaszał się sucho, a ja rozejrzałem się po jego mieszkaniu, miejscu starych zegarów i luster. Każdy z nich wskazywał inną godzinę, a lustra tylko podwajały ten błędny czas.

– Ty chcesz pisać o mnie, panie, to chyba nie warto. Czym moje życie się różniło od tysiąca innych? Czy kogokolwiek warto opisywać, skoro niedługo będą tacy sami? Ale jeśli już tak ci zależy, to pamiętaj, ja to u Hemingwaya sobie wyłowilem, ubarwiaj, ubarwiaj ile można, bo życie jest takie, że złowisz dwie małe rybki, jedziesz potem rowerem, słyszysz śpiew tych samych ptaków, dziewczynie dasz średnią przyjemność, a potem spijesz kwaśne piwo. A gdy będziesz w barze i opowiesz, to mów,



że złowiłeś suma-skurwysynka większego od księżycyca, wracając rowerem złapałeś gumę i sam diabeł Angelo pomógł ci ją naprawić, przy okazji zadowoliliś jak nikt wcześniej dwa cycory na sianie, a później spijałeś złote wino z ust małych nimf. Tak to działa.

– A czuł pan kiedyś, że złapał za nogi ten moment? – spytałem, gdy się zapowietrzył.

– Nigdy nic nie wiesz, może być tylko przecucie, kobiety są w tym podobno lepsze, wszystko się będzie wiedzieć po czasie, ale wtedy może przestać cię to interesować. Ja już na przykład w ogóle nie rozpamiętuję. Mógłbym tęsknić za tamtym latem, falami, srebrzystą rzeczką w Beskidach, ale ich już nie ma, teraz pewnie inni je łapią, a ja ci powiem, że coś miałem, lepszego, lub gorszego, nie chcę więcej, tacy zachłanni podpisują kontrakt z diabłem i nie wychodzą na tym najlepiej.

Pukałem do innych drzwi, ale nikt się nie odzywał. Wróciłem do domu i wszedłem od razu do pokoju, nie było kuchni, łazienkę znalazłem w innym miejscu. Ściany były szkarłatne, a słońce znowu zachodziło w dziwny sposób. Na tle kamienic oświetlonych czerwonym światłem widziałem cienie kilku gołębi, a ktoś za firanką w mieszkaniu naprzeciwko robił coś niepokojącego.

Trzecia noc nie przyniosła żadnego snu, ale odczytałem trochę więcej z zapisków z zeszytu. Nietoperz i jaszczurka urodzili się podczas Karnawału i zawsze spędzali swoje urodziny w maskach. Rzeki płynęły kolorami, nad miastem wystrzeliwane było konfetti, a one obserwowały zarzynaną kurę i ciągle malowały bezgłowe postaci i myślały o butelkowanej, gazowanej krwi.

W czwarty dzień odwiedzili mnie kumple. Sądzili, że nowe mieszkanie trzeba opić i w ten sposób przywitać. Był Andrzej Gigabajt, Andrzej Tonko, Andrzej Klim i Andrzej Kachyna. Wszyscy mężczyźni w moim mieście mieli na imię Andrzej. Siedzieli przy otwartym oknie i palili papierosy. Na podłodze było dużo przyniesionego przez nich alkoholu.

– Słyszałem, że suszone skórki od bananów klepią. Dzisiaj się trzeba jakoś naćpać – rzucił Giga z rozpalonymi policzkami, w sumie z nim zawsze najlepiej się dogadywałem i nigdy niczego się wobec siebie nie wstydziliśmy.

– Idźmy do apteki, bo jakieś pierdoły – powiedział Tonko.

– Będą płakać o recepty, a ja coś mam w kieszeni – Kachyna zeskoczył z parapetu i zaczął świecić tabletkami, albo były to nasionka. Miał dobrych, bogatych rodziców, często jeździł z nimi za granicę i przywoził dużo smakołyków. Miał iść na studia do Niemiec albo Anglii i wygrywać w życie, to była jedna z ostatnich okazji, aby go zobaczyć.

Łyknęliśmy specyfiki Kacha i siedzieliśmy na kanapie, pijąc brony. Klimi jak zawsze był cicho. Kilka razy z nim gadałem sam na sam i się dowiedziałem, że sporo w życiu przeczytał. Całego Kafkę, i tak dalej. Szczególnie lubił, kiedy bohater był młody, mieszkał w brudnym mieście i jeszcze brudniejszej klitce, bał się świata, czuł się inny od reszty i piętnował wszystkich za mieszczańskie zapędy. Poza tym miał dziwnych sąsiadów i niespełnioną miłość. „Z takimi to ja się utożsamiam” – powtórzył mi to kilka razy. Klimi miał masę dziwnych fetyszy. Lubiał jak stare kobiety na niego pierdziały, sikały, poniżały go, a najbardziej kochał lizać ich stopy i podeszwy butów. Staralem się go nie oceniać, ale nie mogłem patrzeć na jego usta, które kiedyś pochłaniały z umiłowaniem starcze szpilki.

– Widziałem wczoraj wielką żyłą Marka Konrada na mieście, była w czarnej skórze – śmiał się Tonko

– Nie pierdol... Ja ostatnio myślę o dmuchanych lalkach dzieci dla pedofili, mogliby poruchać bezkarnie, to byłaby najlepsza prewencja – stwierdził całkiem poważnie Giga, a my pośmialiśmy się chwilę.

– Jeszcze lalki trupów i Eltonka dla gejów – dorzucił Kacha, a ja czułem pierwsze większe łaskotki na plecach, głowa już dokazywała. Okna wydawały się dziwne, ale ściany były białe. Znów tak bardzo lubiłem język polski, za nic bym się nie zamienił. Był pełen paradoksów, płynął w sobie, w nas i nic nie chciał w zamian.

– Wiecie, że grające pieniądze żebrają żebraków? Każdy im wrzuca do koszyczka po żebraku. Ja raz zapłaciłem molami w sklepie. Są tacy ludzie, którzy się na to nabiorą.

Wiem, że są tabletki na niebyt albo koniec świata, może w spryskiwaczu, ja będę biegł z tym przez niebyt i wywalczę kilka metrów, zrobię sobie korytarz. Wszystko jest możliwe, Mickiewicz jakby żył, reklamo-

wałby Danona, zaczynałby pisać na Windowsie 95. Platon założył „Prze-  
gląd Sportowy” i go odbijał na kserokopiarce, gdy czekał w namiocie na  
zawody z innymi śmierzdzącymi atletami. W oczach mamy tkaninę, bo to  
są tkaczki. Okna mamy w oczach. Nogą do swojej głowy się jeździ windą  
– Tonko stał i znowu wypływał słowa, a Klimi uwielbiał się śmiać z tego,  
co on gada, ale ja wolałem zagłębić się w sobie. Myślałem o dzieciństwie.  
Przypomniałem sobie stare układy pomieszczeń, których już nie było.  
Starej szkoły, parku obok niej. Przemyślałem sprawę przeprowadzki i za-  
stanowiłem się, kiedy coś się załamało w moich starych. Wszystko było  
dobrze: uśmiechy, wypadki w weekend za miasto, odrabianie wspólnie  
lekcji, chodzili nawet na wywiadówki, było zwyczajnie, ale bez wyskoków,  
ale kiedyś coś pękło. Może życie ich dorwało, przycisnęło do framugi  
i zażądało okupu z szaleństwa? Nie wiedziałem i poczułem, że pewnie  
będę taki sam. Coraz poważniej myślałem o pisaniu o tych wszystkich  
ludziach z miasta. Wyrwać im z karku garstkę zdań, chociaż tym ciekaw-  
szym. Zrobić jakieś specjalne półeczki, trzymać potem w domu. Kawał  
prawdy, szczypta impresji. Należało im się, to nie jest proste żyć bez wy-  
rywania kłaków i chodzenia na górę nad miastem, aby wyć i płakać razem  
z nocnym niebem.

– Nie rozumiem, czemu te pedały tak trąbią, jak jadą na wesele –  
Giga i Kacha szybko podjęli temat, słysząc wrzawę na ulicy – co mnie  
to obchodzi? Pokazanie, że to jest takie wielkie i szczęśliwe poprzez ta-  
rabanie, bo niby raz w życiu? Zupełnie jak Chińczyki odstrasza-  
jące petardami złe duchy. Jesteśmy tacy szczęśliwi, mamy białe sukienki  
i garnitury, ale wyróżnili nas wcześniej w Sopocie na wakacjach na molo.  
Było romantycznie. Na torcie powinni podawać liczbę kutang państwa  
młodych, przynajmniej byłaby jasność.

– Wintro, co tak siedzisz cicho? – klepnął mnie Giga, wrywając  
z odrętwienia – opowiedz coś, jakąś swoją historyjkę. Od kiedy pamię-  
tałem, opowiadałem im historie. Trochę się czułem jak szafa opowiada-  
jąca, ale to lubiłem i mogłem się mentalnie pomasturbować, że niby coś  
umiem. Zacząłem opowiadać.

Był to zwyczajny mężczyzna. Niektórzy szeptali, że Żyd. Nie był za

bogaty, podobno stracił sklep i zarabiał, ważąc ludzi na mieście. Codziennie, powolutku, wyjmował swoją starą wagę, niósł ją na skrzyżowanie dwóch ulic i siadał na ławce. Każdy, kto chciał poznać swoją wagę, dawał mu jednego złotego talara, wchodził na stopień, a Żyd odważnikami ustalał ile, jego klient waży.

Był to ciemny dzień. Wiatr się wzmagał i wyrывał kawałki mchu wyrosłe w zniszczonych rynnach. Żyd jak zawsze niósł starą wagę, opierając się nieustępliwemu wiatrowi z gór. Usiadł na ulubionej ławce i czekał na klientów, nikt jednak nie przychodził, aby poznać swoją wagę, wszyscy ją już chyba znali, ostatnim niezważonym został sam Żyd.

Starszy mężczyzna bardzo się nudził. Pogwizdywał sobie, obserwował nerwowo sikorki skubiące płatki owsiane, aż nagle wstał i postawił jedną nogę na wadzę. Po chwili postawił drugą i już miał poznać swoją wagę, gdy rozstąpiło się ciemne niebo i usłyszał głos:

– Co robisz, Żydzie? Czy to nie ja powinienem cię zważyć?

Żyd się zląkł, zeskoczył z wagi i patrzył w niebo przez szczeble ławki.

– Wskakuj jeszcze raz, jestem gotów cię zważyć – rzekła postać z nieba.

– Nic z tych rzeczy, sam se wleź.

– Dobrze, zejść zaraz z nieba i stanę na twojej wadze – postać powoli zbliżała się do skrzyżowania ulic i zstąpiła po chwili na wagę.

Żyd wziął się do roboty. Ustawił odważniki, ale strzałka nie chciała się za nic ruszyć.

– Ile ważę, Żydzie? – Dopytywała się postać.

– Już, już, chwileczkę – Żyd zaczął się pocić, bo strzałka wciąż wskazywała zero, nie wiedział, co zrobić. Po chwili powiedział: – 1000 kilogramów, świetna waga – a postać zadowolona zapłaciła mu talarem i znów wstąpiła do nieba.

Żyd spocony wrócił do domu i szybko się położył, trzęsąc się ze strachu, a wszyscy otąd na różnych ulicach, w miastach i kontynentach modlili się do szalonej tony.

Gadaliśmy dalej. Chłopaki cieszyli się, myśląc o studiach. „Będziemy wyrывać bałagany, jadą z całej Polski, aby dać schaba, nadzieć się wresz-

cie, bo po to się urodziły” – krzyczał Giga, a wszystko coraz bardziej się rozmywało, odpływało, połączyło się w jeden głos, ktoś zaczął czytać „nawet pyłek ma dwie strony”, mówiły ściany, okna, zewsząd dobiegał złowieszczy śmiech Klimiego. – Kim była Irma Pieronek? – ktoś zapytał.

Leżałem w łóżku i patrzyłem w noc. Ściany były tym razem niebieskie, ale przestałem się przejmować ciągłymi zmianami. Miasto cichło. Ostatni z nocnych zwycięzców wypowiedali półgębkiem swe kwestie, bo za chwilę mieli ustąpić miejsca kursującym ciężarówkom z pieczywem i zaspanym, ołowianym powiekom, wstającym z ciepłych, lepkich kokonów, aby sturlać się prosto w wir poranka. Połączyłem się ze snem i przybijałem mu niewidzialne piątki, zobaczyłem siebie w podróży, zapragnąłem uczcić nowe życie, być już w drodze.

## Las Vegas Polano

Byliśmy gdzieś w okolicach Nowej Soli, gdy złapała nas policja. Nie zatrzymali nas z powodu szybkości, bo nasz Wartburg nie osiągał nawet sześćdziesiątki. Musieliśmy dziwnie wyglądać, prawdziwe freaki. Gdy wyruszaliśmy, kupiliśmy w lumpexie czapeczki, dużo hawajskich koszul, nie było bawełnianych, pociliśmy się w poliestrze, i okulary słoneczne. Ale najważniejsze było co innego.

Dwa tygodnie przed wyprawą codziennie rano chodziliśmy na polanę szukać grzybów. To były takie darmowe dragi, zbieraliśmy ze szesnaście, bo chyba nie było wysypu albo ktoś za każdym razem nas uprzedzał. Cenne, magiczne grzyby umieściliśmy w opakowaniu po lodach i zaczęliśmy szukać innych dragów. Nie znaleźliśmy żadnych dilerów, Kacha już wyjechał, lecz udało się nam kupić pakiet marihuany za trzy dychy od chłopaka z gimnazjum, ale nie było tego za wiele, góra na dwie lufki. Chcieliśmy więcej dragów. Tych najlepszych. Zwalniaczy. Przyśpieszaczy. Rozkurwiaczy. Obkupiliśmy się w aptece. Pięć paczek Accodinu. Tussipect. Aviomarin. Tantum Rosa. Wszystko, co najlepsze. Jakby tego było mało – rozrobiliśmy czterdzieści saszetek szałwi w litrze wody i to właśnie jej obawialiśmy się najbardziej.

Nie było walizki obszytej skórą z węży z El Paso, nie mieliśmy gdzie schować naszych cennych dragów. Matka Gigi, z którym jechałem, zaproponowała, że wyjmie swoją szlachetną maszynę do szycia i da nam futerał. Rzeczywiście był piękny i z dumą wsadzaliśmy go do zabałaganionego bagażnika.

Pewnie się zastanawiacie, skąd mieliśmy mleczno-białego Wartburga. Odpowiedź jest prosta. Podarował mi go wujek, Andrzej Wintro, bo dobrze zdałem maturę. Cała linia męska w mojej rodzinie to Andrzeje Wintro. Ani ja, ani Andrzej Gigabajt nie mieliśmy prawa jazdy, ale ustaliliśmy, że Giga prowadzi, bo miał pewien kontakt z traktorami, pomagał czasem na wsi.

Pruliśmy 384 do Wrocławia, a potem mieliśmy wskoczyć na poznańską. Byłem dziennikarzem sportowym. Współpracowałem wtedy z portalem piłkarskim, za każdy tekst dostawałem bagatela dziesięć złotych. Nikt tym razem nie prosił mnie, abym jechał na mecz, ale postanowiłem być nadgorliwy i opisać spotkanie Warty Poznań z Ruchem Radzionków, poza tym chciałem przeżyć podróż życia, utrzcę nosa głupim gadkom, wyrzygać szaleństwo i zdemolować schronisko młodzieżowe w Poznaniu.

Giga prowadził całkiem sprawnie. Koło Bielawy wrzuciliśmy po osiem grzybów, popiliśmy Żubrem. W Łagiewnikach zjedliśmy po listku Accodinu i po bombce Tantum Rosa. Z kasety leciała Maryla Rodowicz i Karin Stanek. Wiedziałem, że do Poznania staniemy się potworami, które zniszczą wszystko i nikt ich nie pozna.

– Ale jestem skurwiony – wysapał Giga. – Nabij łufkę, muszę się dobić.

– Mało tego mamy, ale jak chcesz – nabiłem i włożyłem ją w jego mięsiste wargi, a on zaczął cmokać i wzionął całego topa. „Futbol, futbol, przeżyjmy to jeszcze raz” – darła się Rodowicz z głębin radia. Czułem się dobrze, ale wydawało mi się, że mamy wąsy i brudne swetry zamiast pięknych, hawajskich koszul. Po chwili widziałem małe polskie flagi, które trzępotały za oknem i chciały się dostać do auta, więc szybko zamknąłem okno.

– Otwieraj to, kutasie! – wydarł się Giga.

– Nie mogę, flagi wleczą do środka... – szepnąłem, ale szybko ugryzłem się w język. Nie chciałem, żeby sam je zobaczył, mógłby tego nie wytrzymać.

– Futbol, futbol, przeżyjmy to jeszcze raz! – mój kompan zaczął śpiewać, a ja szybko się przyłączyłem. Śpiewaliśmy sobie wesoło prawie do samego Wrocławia, ale nagle zobaczyliśmy autostopowicza. To był ten moment. „Musimy go wziąć!” – wrzasnąłem do Gigi, a on z piskiem opon, zawadiacko zatrzymał Wartburga tuż przed nią, bo okazało się, że to dziewczyna.

– Pierwszy raz jadę na stopa, co za niesamowite uczucie – paplała z tyłu.

– Uważaj, jesteśmy niebezpieczni – chciałem ją uspokoić, ale zaczęła się śmiać.

– Studiuję pedagogikę wychowawczo-opiekuńczą. Mam taki pomysł na życie, że będę pracowała w przedszkolu. Bardzo lubię dzieci, znam takie sztuczki, że mnie kochają i robią to, co chcę.

– Jesteśmy niebezpieczni. Rozrabiamy!– krzyknąłem do niej jeszcze raz, ale mnie zbyła i mówiła dalej. Giga mocno zaciskał kierownicę i zaczął się pocić.

– Też już wiem, co zrobię, jak mi wejdą na głowę. Każę im wszystkim biegać w kółko. Nawet to już nazwałam, to będzie Taniec Tabalugi, a później otworzę okna. Będzie zima i wpadnie zimne powietrze, przez które one zachorują, a na drugi dzień nie przyjdą, bo będą już chore... A co wy, chłopcy, tak wyglądacie? Cali spoceni? Też może jesteście chorzy? Może zamknijcie okno, bo wpada zimne powietrze – uśmiechała się słodko, a my z Gigą zawzięcie milczeliśmy i baliśmy się na nią spojrzeć.

– Robicie coś może w życiu? Na przykład ciekawego? Tak jak ja? Bo coś mi się zdaje, że leserujecie. W ogóle gdzie jedziemy? Macie jakieś plany życiowe? Bez planu będziecie jak łódka na niespokojnym morzu. Albo skały, albo lodowa góra jak w Titanicu, a jak dopłyniecie do bezludnej wyspy, to będą na niej mieszkać ludochuje.

Odwrociłem się nagle do niej, złapałem ją za kolano, spostrzegłem przy okazji, że ma ładne cycki i ryknąłem: – Zamknij mordę, paniusiu!

Nie zrobiło to na niej żadnego wrażenia, tylko się roześmiała i ze słodką miną wbiła paznokcie w moją rękę. Cofnąłem ją z sykiem, a ona dalej gadała. Zapragnąłem wtedy jej cycków i z odległości trzydziestu centymetrów zacząłem się w nie wgapiać.

– Jednak miałam rację. Leserzy i szkodniki pierwszej klasy, a na dodatek niekulturalne. Jeden krzyczy, drugi się poci i się nie odzywa. Zero dobrych społecznych zwyczajów. Co z was za ludzie? Wy może jesteście tymi, no, nonkonformistami? Nauczyłam się o takich na studiach. I są niby mądre metody, jak takich dewiantów wyleczyć, ale ja mam swój sposób – po łbie dać, łopatę w rękę i rowy kopać. Nie ma dla was innego ratunku. Kobiety pewnie też nie macie, taka by was wzięła w obroty i wygoniła te głupoty z was. A wierzycie w Boga?

Giga nie wytrzymał i spróbował: – Raz znałem paskudną kurwę,



imieniem Basia G. – udało mu się zagłuszyć pierwszymi mocno wypowiedzianymi słowami panią pedagog, bo darł się na całego Wartburga. – Była tępa i dawała dupy za garść miedziaków. Myślała o pięknych krajach i podróży na parowcu do Stanów Zjednoczonych, ale jedyne podróże, jakie się odbywały, to do jej mordy, pizdy i dupska. Przyjmowała wielu podróżników głodnych wrażeń, a jedyne, co jej zostawiali, to litry kokosowego mleka, ale ona wciąż marzyła. O złotych tacach, różowych czajniczkach, błękitnookich słoniach i holenderskim kakao, a świat dał jej tylko jeden wielki wpierdol. Już wiedziała, co zrobić. Musiała uciec, iść na studia, poszła więc na pedagogikę opiekuńczo-wychowawczą, choć sama była piekielnym, smarkatym dzieciakiem, a tam ją zalał brązowy woźny. Giga skończył, a ja dławilem się Żubrem ze śmiechu, pierwszy raz zagłuszając świat, Rodowicz i Karin Stanek zakłęte w radio. Autostopowiczka była nieugięta. Rzuciła tylko:

– I co to miało znaczyć? Że jesteś leser i chuj?

Śmialiśmy się z Gigą dalej, a ona natarła:

– I tak skończycie na wózkach, chamy. Wąsaci, w brudnych swetrach, a dzieci będą wam dawać małe flagi Polski. A ja? Skończę lepiej i zobaczę kawał świata.

Auto się zatrzymało. To był korek przed Wrocławiem. Ona to wykorzystała i szybko wyskoczyła z auta, rzucając jeszcze: – Jebane śmieci!

– Co za pierdolony wariat – Giga ocierał poliestrowym rękawem spoczone czoło. – Takie rzeczy opowiadać, w takich chwilach, bezbronnym ludziom.

– Nie gadaj, śmiesznie było! – ryknąłem, zagłuszając „gdzie szosy biała nić” Kariny Stanek.

Dragi mocno nami poniewierały. Wszystkie auta miały niebieskie smugi. Nie potrafiłem zebrać myśli. Gdy zamykałem oczy, widziałem taczki, wózki z hipermarketów i gumowy sprzęt do wody wirujący w dziwnym tornadzie. Szumiało mi w uszach i bałem się zapytać Gigi, co z nim, był już zielony i chyba chciało mu się rzygać.

– Czytaj mi modlitwę kierowcy, inaczej nie damy radę – syknął.

– Dobra, dobra – zacząłem szukać śmiesznego obrazka ze świętym

Krzysztofem, „jebany dziecięcos”, przemknęło mi przez głowę, „pierwszy wodolot dla małych Jezusów, kiedy jeszcze nie umiały chodzić po wodzie”, ktoś szepnął, a ja szukałem dalej zdenerwowany, „nartnik też tak umie, a nie klękamy przed nim od dwóch tysięcy lat”. – Zamknij mordę! – wrzasnąłem sam do siebie, a Giga aż się wzdrygnął.

– Dobra, mam go.

– Czytaj, proszę, czytaj, inaczej nie damy rady.

– Boże, daj mi pewną rękę i bystre oko, abym nikomu nie wyrządził żadnej szkody -deklamowałem, a Giga wyraźnie się uspokajał. – Nie pozwól Dawco życia („co, kurwa” – przemknęła mi w głowie myśl), bym stał się przyczyną śmierci lub kalectwa, a także zachowaj od nieszczęścia i wypadku... Nie mogę, nie będę czytał tych bzdur.

– Dalej, dalej, to nasza jedyna szansa. Święty Krzysztof pomoże, po co się tak zrobiliśmy? Nie wiem, co się dzieje. Czytaj!

– Pohamuj pokusę nadmiernej szybkości – zacząłem śmiać się na cały głos, ale Giga patrzył na mnie błagalnie. – Oby piękno stworzonego przez Ciebie świata i radość Twej łaski towarzyszyły mi zawsze. Kurwa. Amen.

– To mi pomogło, odejdz pokuso nadmiernej szybkości – Giga potwarzał to cały czas i chyba zamknął oczy, ale jakoś jechaliśmy dalej.

A ja zacząłem dumać, co my właściwie odpierdalamy. Do Poznania było jeszcze 150 kilometrów, a już byliśmy na skraju wyczerpania nerwowego. Nabiłem drugą, ostatnią lufkę i wypaliliśmy ją w miarę spokojnie. Na długo nie pomogła. Myślałem o swoim mieszkaniu. Chciałem w nim spokojnie siedzieć. Niezagrożony. Niezależnie, czy było dzisiaj czerwone czy żółte. Z łazienką. Bez. Nawet ukochałbym Andrzeja Goja (kogo?) i jego ptaki. Chciałem patrzeć spokojnie ze swojej jamy. Niezagrożony. Niezależnie, czy byłaby osmolona czy blada. Z czterema łazienkami. Czy z kuchnią austro-węgierską. Naleśniki z kebabem. Ślizgi na Kulfonie i Monice. Dobre oceny w rajdach skorupki od jajek polskich raperów. Kilgore Trout Rozra-biaka. Bękarty Andrzeja Wajdy. Kiwitacja. Guzy smakowe Alana Shearera. Jest pewien kraj, piękny kraj zwany Polską, wiem, że wam się nie chce. Tylko udajecie, że walczyacie pijani z Napoleonem. Robicie przewroty, powstania, komunizm, kultury, a tak wam się nie chce. Idźcie w uściski do wujków.

- O czym myślisz, Giga? – musiałem przerwać atak głowy.
- Nie chcesz wiedzieć, Wini, nic nie chcesz wiedzieć.
- Mów! – zacząłem grozić mu butelką od Żubra.
- O tym, że świat jest na siedmiu zółwiach, a te zółwie są na dwóch tych dziewczynach z pedagogiki.
- A na czym są te dziewczyny?!
- Nie wiem, kurwa, nie wiem. Na rewitalizacji obszarów wiejskich Milówka.
- Co? Ty baranie, ziemia jest na psim kutasie. Kręci się.
- Nie mów mi takich rzeczy. Opowiedz mi, jak byłeś z dziewczyną ostatni raz.
- To jest temat na osobny rozdział, człowieku.
- Opowiedz teraz tak w skrócie, o ostatnim stosunku. Później rozwinięsz.
- No, dobra. Znasz siostrę Andrzeja Skana?
- Wiadomo, to ona mi kiedyś rozerwała stulejkę na Dniach Miasta w tej bramie obok kościoła.
- Ale z ciebie kutas, pierwszy ją miałeś, ale dobra.
- Daj mi jeszcze butelkę z szałwią. Na pewno mnie orzeźwi. I opowiadaj. Opowiadaj.
- Uważaj na nią, nic nie czyni człowieka tak zdeprawowanym jak herbata z szałwią – ostrzegłem go, podałem butlę i zacząłem historię.
- Byliśmy na wycieczce szkolnej w Karkonoszach. Jak wspinaliśmy się na Śnieżkę, to już widziałem, że mi się przygląda. Wiesz, takie krótkie spojrzonka, chichoty, mówienie czegoś na ucho koleżankom. Czułem, że może być wesoło, a w spodniach już zaczynał się jarmark. Po czasie się zbliżała, nawet mnie musnęła ręką po plecach, a mi tak stanął, że musiałem się ukrywać za skałą, żeby przeczekać burzę. Potem wyszedłem z za skały i dogoniłem grupę. Ona się od mnie uśmiechnęła i spytała „chyba się na mnie nie obraziłeś? Jestem aż taka okropna?”. Trochę się zawstydzilem i jęknąłem tylko „jesteś spoko”, a ona pocałowała mnie w policzek i miałem znowu posiadówę za skałą. W schronisku, wiadomo, poleciały piwka, wódka na kilku, przyszła śmiałość, a ona wyglądała tak ładnie

w świetle ogniska. Długie warkocz, piegi, i te niesamowite piersi. Wsadzała nawet jednego warkocza do ust, ślinała go, a potem wkładała między te piękne cycki. Gamoń mi sterczał jak szalony i powolutku zbliżałem się w jej kierunku, kamień po kamieniu, a ona tylko czekała, aby ją wziąć, zdobyć. Po pięciu minutach siedziałem obok niej i gładziłem jej ramiona, piękne włosy. Całowałem jej ręce, policzki, powieki. Dotykałem długich nóg. „Może znajdziemy lepsze miejsce?” – szepnęła mi do ucha i złapała za rękę, aby za chwilę wspólnie leżeć na miękkiej ściółce, figlować językami, dotykać się nawzajem. Piersi miała niesamowite, duże, jędrne, jak południowe owoce. Brzuszek taki miękki, a cipka ośliniona, lepka, jak ślimaczek. Zdjąłem jej spodnie. Pofiglowałem językiem między udami. Była taka smaczna po całym dniu podróży. Powoli kierowałem penisa do jej wnętrza. Nie chciała, abym ubierał gumę...

Auto się nagle zatrzymało. Byliśmy na poboczu. Giga był blady jak papier, a do nas zbliżał się policjant. Nie zdążyliśmy nic zrobić. Siedzieliśmy zastygli, wgapieni w drogę i ze sterczącymi kutasami.

– Proszę dowód rejestracyjny i prawo jazdy kierowcy oraz dowód pasażera – zaczął szybko, a jego twarz spływała po mundurze. Miał wielkie oczy, w których figlowały małe robaczki i ważki.

– Nie mamy prawa jazdy – jęknął Giga, aby za chwilę wszystko potoczyło się bardzo szybko. Nie mieliśmy prawa jazdy, recept na leki, w lufce znaleźli jeszcze księżycowy pył. Dostaliśmy dwa razy pałką przez nogi, poczułem brudną ziemię i kilka kopniaków, zaraz siedzieliśmy skuci w radiowozie.

– Niezli bohaterzy – dwóch karków w niebieskim śmiało się z przodu, a do mnie ledwo dochodziły ich słowa. – Ciekawe, co ich starzy by powiedzieli, jakby ich tak zobaczyli. I te sterczące pały, no kurwa, pedały na dodatek. Ćpuny i pedały!

Jechaliśmy spokojnie. Przed oczami dalej wirował milion figur geometrycznych, a karki rechotały z przodu jak dwie jebany żaby. Nie wiedziałem, czy oni są tu po to, aby nas zabić, czy nam pomóc, ale miałem ich w dupie. Tylko spokojnie przetrwać, zasnąć, wrócić do domu, czytać już książkę przy ciepłej herbacie.

– Takich jak wy to ja bardzo nie lubię. A jak moje dzieci by się zakumulowały z takimi buraczkami jak wy? To co? Byście je sprowadzili na złą drogę. Świat jest dla dorosłych ludzi, a nie dla takich frajerów jak wy. Życ trzeba umieć, a wy tylko podrygujecie jak wystraszone pchełki – gadał już jakiś inny, a my siedzieliśmy na komendzie. Coś bełkotaliśmy, a oni tylko nas wyzywali i od czasu do czasu objali. Nie wiedziałem, o co chodzi w tym miejscu. I dlaczego naziści jeszcze istnieją. Bili nas po uszach i nerkach za jazdę blaszanym prostokątem po spożyciu wyprodukowanych przez nich białych proszków i tabletek. Nic z tego nie rozumiałem. Oni po prostu byli bardzo złymi, znudzonymi mężczyznami, a niebo było daleko i nie dochodził do nich boski wpierdol. Gdy przestali nas bić po plecach, zamknęli nas w jednej celi, oblewali szlauchem i przyczepili nam do dupy ogony wielkich gadów.

Siedzieliśmy smętnie. Nie chciałem nawet patrzeć na Gigę. Wyglądał jak nieżywy bożek smutku. Żał mi go było, ale musiał sobie poradzić sam. Ośmieszili nas doszczętnie gadzimi ogonami, byłem bezsilny, może kiedyś uda się odegrać na tych idiotach. Było mi zimno od ciągłego polewania wodą, byłem kostką lodu i patrzyłem na świat, na naszą chorą cele jakby z góry. I przyszło to wtedy do mnie, coś zrozumiałem z tej podróży:

Idee późnych roczników osiemdziesiątych załamały się nagle. Pękły, rozprysły jak sople na masce historii. Tego dnia, 2 kwietnia 2005 roku o godzinie 21:37, pewna era się skończyła. Nie mieliśmy już po co żyć. Życie bez duchowego opiekuna, guru prawdy było wegetacją na pustyni nihilizmu w morderczym poszukiwaniu ostatnich kropli życiodajnej wody. Pamiętam ten dzień, oczekiwaliśmy w obłędzie na najgorsze, wierząc jednak, że bóg odroczy jego i naszą śmierć chociaż o kilka pomruków czasu. Gdy przyszedł zimny, kwietniowy wieczór, straciliśmy nadzieję. Wyszliśmy do okien, zapaliliśmy zapalniczki Zippo i patrzeliśmy nawzajem w swoje młode, zapłakane twarze. Jeśli wtedy bym wszedł na świętą górę nad Polską, zobaczyłbym, że złota fala się załamała, straciliśmy coś, co napędzało nas do owocnego życia, odszedł siewca, ziemia, woda i puchaty krzew w jednym. Staliśmy przy oknach, a szyby oddawały nasze

słone lzy na pożarcie bezwzględnej przyszłości. Poczuliśmy, że nic nie ma znaczenia. Trzeba oddać się szaleństwu, ciału, bestiom, morderczemu życiu bez snu z czerwoną śliną w kąciku ust, zabójczym nałogom, wspa-  
niałości odurzania się, kłamstwom i samobójczej śmierci. Amen.

## Panie

W pajęczynkach ukrytych w kątach pokoi odbijały się znów światła czerwonego słońca. Nie wiedziałem, dlaczego w ten sposób zachodziło nad doliną, ale działa się to dość często, wprowadzając nerwowy nastrój na ulicach. W takich chwilach ludzie jeszcze bardziej nie wiedzieli, co tutaj robią oraz dokąd idą. Można było to wytłumaczyć pewnie zasaną optyką, ale wraz z kilkoma dziećmi wołałem myśleć, że to rozgrzane do czerwoności kotły bulgoczące na górze nad naszym miastem.

Poznałem kilka następnych osób z kamienicy. Czasem ktoś postanowił wyjść, gdy usilnie pukałem w stare drzwi i chwilę gaworzyliśmy na korytarzu, nieraz byłem zapraszany do środka. Wypiłem herbatę z młodym małżeństwem, a ich dwójka dzieci niczym bombowce przelatywała przez zakamarki mieszkania, a gdyby drzwi były otwarte, poleciałyby dalej, może nigdy nie wracając. Dzieci zajmowały się sobą, patrząc na nas z niedowierzaniem, a może i z rozbawieniem, bo siedzieliśmy smętnie, słabi w dorosłych kontaktach, właściwie nie wiadomo, co chcieliśmy odegrać, ale każdy solennie wciągał nos, szurał kapturami, dziękował za cukier i niewyraźnie się uśmiechał. Facio sprzedawał ubezpieczenia, a dziewczyna na razie zajmowała się dziećmi. Nie wiem, czy dzieci dawały im iskrę, bo inaczej byliby pozbawionymi tętna flakami, czy to właśnie dzieci tak ich wypaliły, że przypominali mi dwie wielkie rękawice, w które włożyła znudzona ręka tradycji i powinności, i teraz lekko podryguje, ślamazarnie się przesuwając, ale z chęcią poszłaby zwalić sobie konia, zamiast ubierać jakiegokolwiek rękawice.

– Czyli nie idziesz na studia? – cmokała młoda matka, wciąż dość ładna, ale było widać, że dzieciaki porozciągały jej wnętrze.

– Nie idę, nie mam tam czego szukać – odparłem.

– Czyli jak się utrzymujesz? – spytał zdezorientowany młody mąż. Miał elegancką koszulę, ale nie z tych najdroższych. Wielu uznałoby go tu za eleganta, ale gdyby przejechał kilka kilometrów dalej, znaleźliby się tacy, którzy szybko by go zdyskwalifikowali.

– Pisałem kilkadziesiąt artykułów w tygodniu i rozsyłałem do różnych gazet. Papierowych i internetowych. Zawsze coś skapnęło. Pomagałem dzieciom w wypracowaniach. Zbierałem puszkę i butelki, a teraz planuje otworzyć rozgłośnie o charakterze religijnym. Mam zamiar utrzymywać się z datków. Poza tym w kilku barach dają mi resztki z obiadów.

– Nie chcesz niczego stałego? Mógłbym cię wkręcić do naszej siatki ubezpieczeniowej, może po kilku latach miałbyś kogoś pod sobą – zapalił się mężczyzna.

– Dzięki za propozycje, przemyślę.

Nie wiedziałem, czy kiedyś jeszcze odwiedzę to mieszkanie. Może jak nie będzie rodziców, pobawiłbym się z ich dziećmi, popilnowałbym ich, chciałbym, aby skapnęło na mnie trochę ich blasku. Zasmucili mnie. To już bardziej żywotnie było w domu suchego staruszka. Tam lepiej wyglądałyby te dwa szalone bombowce. Odbijałyby się lustrach, zegary wskazywałyby różny czas bombardowań, a starzec z zadowoleniem przyglądałby się żywiołowi na swoim dywanie.

W drugich drzwiach, które się przede mną otworzyły, stała dojrzała kobieta w szlafroku, a zza jej nogi uśmiechała się do mnie niewielka dziewczynka, zza której wystawał niewielki miś bez oczu. Za miśm nie było już nic.

– Tak? – powiedziała pytająco ciepłym głosem.

– Jestem nowy, poznaję sąsiadów – odparłem lekko zawstydzony.

– Proszę, przyjdź później, mój mąż jest w domu, a to straszny dzikus, nie lubi gości.

– Dobra – podrapałem się tylko po głowie.

Moje mieszkanie uspokoiło się. Nie zauważyłem od tygodnia żadnych zmian. Ściany znów były białe. Jedyne, co mnie niepokoiło, to czerwone światło nad doliną i mieszkanie naprzeciwko, w którym paliły się lampki solne, często jego lokator obklejał szyby gazetami i wypuszczał z wnętrza kilka grubych gołębi. Siedziałem w dużym pokoju, gdzie miałem łóżko, i pomyślałem o sąsiadce z góry. Podobała mi się. Matczyna w wyzywający sposób. Duży, wręcz wulgarny biust, pewnie miękki i ciepły jak reszta ciała. Było to ciepło lepkich ulic i bawialni, a nie pierwszego kwietniowego



słońca, kiedy zapięte po ostatni guzik, spocone kobiety idą do kościoła. Zastanawiałem się, kiedy mógł wychodzić jej mąż, chciałem ją odwiedzić. Nasłuchiwałem kroków. Kamienica była cicha, schody rzadko odgrywały swoje ulubione melodie. Po jakimś czasie wspiałem się na jej piętro. Zapukałem.

– Jest jeszcze? – spytałem, gdy mi otworzyła, a ona bez słów wpuściła mnie do środka. Dziwne mieszkanie. Wszędzie porzucano dużo materiału, koców, ręczników, waty, całe mieszkanie było tą kobietą. Miękkie i gotowe, aby się w nie zawiąć.

Podawała mi jakiś alkohol w małej szklaneczce. Smakował jak spryskiwacz do szyb, ale wypięłem haustem. Zauważyłem, że zdążyła się lekko przygotować. Rozpięła szlafrok, chyba pomalowała oczy i usta. Siedziała w puchatym foteliku i wpatrywała się we mnie.

– Co o nas sądzisz? – spytała, wciąż bacznie mi się przyglądając.

– Nas?

– Ludziach z kamienicy.

– Jeszcze nie poznałem wszystkich, ale wydaje mi się, że musi być jak wszędzie.

– Jesteśmy zwykli?

– Nie, po prostu życie swoim życiem.

– Co masz na szyi? – zbliżyła się nieco i wskazała palcem.

– Takie głupoty, pierwsza dziewczyna wycięła nożem kółeczko, abym jej nie zapomniał, a teraz właściwie nie pamiętam jej imienia.

– Ale to jednak zostało – zaczęła gładzić mnie po kolanach i już mogłem się domyślić, że pewnie będę odwiedzał ją częściej. Szukałem po pokoju wzrokiem jej córki, nie dostrzegłem. Nie chciałem, aby coś działo się na jej oczach, bo tej kobiecie mogło być to obojętne.

– Gdzie twoja córeczka? – spytałem.

– Śpi sobie spokojnie w drugim pokoju. Nic się nie martw – zaczęła całować mój brzuch. Później zdjęła mi spodnie do kolan. Bawiła się najpierw ręką, później wsadziła go między piersi. Były olbrzymie i miękkie, gdzieś tam zachowały jędrność. Dobrze współgrały z jej atlasową koszulą nocną. Zawsze w takich chwilach myślałem o nieodpowiednich

rzeczach. Na początku w duchu naigrywałem się z niej, że robi mi loda. Wydało mi się to idiotycznie, ludzie wymyślili śmieszne sposoby na okazywanie sobie uczuć i wylewanie z siebie cieczy. Później widziałem plażę. Wyobrażałem sobie, że ssie mi kałamarnica albo monstrualna meduza. Na końcu udało mi się złapać odrobinę przyjemności, gdy wylała go w połowie do ust, a później trysnął na jej brodę i szyję. Po wytrysku jeszcze długo go pieściła, nie tak jak młode dziewczyny, które myślą, że to koniec. Usiadła przy mnie i tuliła się. Czuję znowu chwilową depresję po końcu i chciałem walnąć ją kokosem w głowę. To było skrajne wypalenie. Ziemia przejechana walcem, traktorami. Morze gruzu i popiołu. Bańki z ropy naftowej. W takich chwilach najchętniej bym się zrzygał, ale dobrze, że mija to dość szybko i można na przykład zabawić się znowu. W takich chwilach życie wydaje się skrajnie bez sensu. Skoro chodzi o panie, a niechęć cię od nich odrzuca, znaczy, że o nic już nie chodzi.

– O czym sobie myślałeś w trakcie? – szepnęła mi cicho do ucha.

– Że jesteśmy na plaży – w sumie nie skłamałem.

– Opowiedz coś więcej – gryzła mnie po uchu.

– Było kilka chwil po monsunie. Wychodziło powoli słońce. Stawało się coraz cieplej, lecz plaża wciąż była mokra, a powietrze przesiąknięte wodą. Siedzieliśmy na bambusowym krzeselku i patrzyliśmy na dziwaczne barwy morza. Wyciągnąłem z bawełnianej, białej koszuli piszczałkę i zacząłem grać. Drzewa nad nami wsłuchały się w melodię, fale obrały kurs ku dźwiękom, w jednej z nich pokazał się pysk wieloryba, który nas obserwował, delektując się piosenką – końcówkę zrymowałem, aby było jej przyjemniej.

– Chciałabym tam być, pewnie dużo czytasz? – wciąż gładziła mnie rękami po ciele i gryzła w ucho.

– Zdarzało mi się.

– A jaką książkę najbardziej lubisz?

– „Mistrza i Małgorzatę” – skłamałem.

– Naprawdę! – prawie podskoczyła – to też moja ulubiona książka, czytałam ją tysiąc razy, jest magiczna! Jeszcze nikogo nie spotkałam, kto by ją przeczytał. Jak zagadywałam o to męża, to mówił, żebym spierdalała.

– Tak, jest magiczna – czułem się jak postać z czegoś, więc nie brałem odpowiedzialności za swoje słowa. Rzadko zdarzają się takie sytuacje, więc fikcję trzeba wycisnąć do ostatniej kropli. „Mistrz i Małgorzatka” ma swoje uroki, dobrze ją przeczytać i znać, bo można zainteresować dzieciinniałe trzydziechy znajomością fabuły. Szedłem w zaparte i była to przez kwadrans moja ukochana lektura.

Odprowadziła mnie pod same drzwi i ucałowała z języczkiem na pożegnanie. Czułem na penisie jeszcze jej wielkie ślimacze wargi. Obiecała, że będzie mnie odwiedzać, bo ja mógłbym się natknąć na jej męża, a to podobno dzikus i byłyby problemy.

W tamtym czasie zacząłem tworzyć pierwsze kartoteki z historiami. Opisałem parkingowego i woźnego ze starej szkoły. Wplotłem trochę prawdy, ale szybko pojawił się surrealizm, na przykład parkingowy w pozostawionych na noc autach analnie nabijał się na drążek zmiany biegów, a woźny, tańcząc na pokrytym gontem dachu szkoły, złapał cytrę, która spadła z nieba. Nie wiedziałem, czy tak może zostać, ale trzymałem się teorii, która mówiła o ubarwianiu codziennego życia.

Szybko udało się wciągnąć do niecnych rozgrywek cielesnych drugą kobietę. Gdy mieszkalem z rodzicami, to była bardziej partyzantka. O dziewczynach można poważnie pomyśleć, mając już własne mieszkanie. Pracowała w obuwniczym kilka ulic dalej. Chodziłem z nią do podstawówki, a później wiele lat się do niej nie odzywałem. Spotkałem ją w tanim barze, i razem z zapachami, szczurzym jadem, tysiącem stąpnieć o bruk, ścieżką alkoholu doszliśmy do mojego mieszkanka. Była cholernie ciasna, a chwaliła się wcześniej wieloma miłosnymi podbojami. Nie chciała być na dole, chyba w ten sposób walczyła o równouprawnienie albo o kobiecą dominację, a mi to zupełnie nie przeszkadzało.

Spotykałem się, od czasu do czasu, z jedną i drugą. Dojrzały Szlafrok ciągle łaknął historii, a w zamian otwierała się dla mnie na kilka godzin. Stwarzała mniej pozorów i sztucznych rytuałów niż obuwnicza. Wszystko było ciepłe i dość klarowne, przeżyła już swój czas rozterek i gier. Okazała się też dla kontrastu za szeroka, oklapła, kłapoucha, poza tym kilka części z jej wnętrza usunięto i uschły pewnie w koszach służby zdrowia.

Opowiadała, że nie ma już mężczyzny, który ją zadowoli. Rzeczywiście, wydawało się to niemożliwe, tak jakby obcować w zupełnej próżni, dlatego dostosowała do radości drugi tunel. Jej odbył był jej cipką. Cipka była tylko przepastnym, nieużytecznym worem. Jej mąż jednak, jak opowiadała, był zażartym konserwatystą i nigdy nie spróbował w dupę, bo dupa jest dla gejów. I tak od wielu lat, właściwie niczego już nie czuli, poruszając się w tej próżni.

Dziewczyna z obuwniczego z całą stanowczością zachowywała pozory i chyba sądziła, że robimy razem coś, co nazywała związkim. Wpadałem do jej sklepu i dawałem jej pączki. Było to miłe, ale gdy powiedziała, że to jest w zasadzie mój obowiązek, robiłem to dwa razy rzadziej i ze skargą na ustach. Poza tym w kwestiach seksualnych była bardzo zamknięta. „Ustami je się pączka, aby wyszedł dupą, penisa tam nie będzie, rozumiesz?!” Gdy chciałem, aby mi wytłumaczyła, o co chodzi, wypierała się religią katolicką, a poza krzyżykiem na szyi nic nie wskazywało na jej wyjątkową religijność. Przebąkiwała czasem, że zrobi mi loda, jak skończą mi się zawiasy za nowosolską przygodę, ale głupszego terminu nie można było już wymyślić.

Sielanka nie trwała długo. Chyba nasze plany i zapatrywanie na świat nie są wiążące dla wszystkich.

Uprawiałem miłość perską z moim ciepłym Szlafrockiem, gdy rozległo się nagle pukanie. Ktoś pukał tak strasznie, jak ja miałem to w zwyczaj, gdy bardzo chciałem kogoś wyrwać z jamy i z nim pogadać.

– Nie otwieraj, nie wychodź ze mnie – jęknęła miękka.

– Nie lubię nie otwierać, zawsze mam wrażenie, że może mnie ominąć najważniejszy moment w życiu – wyszedłem z niej, zarzuciłem jej szlafrok i poszedłem otworzyć. Gdy tylko uchyliły się drzwi, do środka wpadła obuwnicza.

– Czemu mi nie otwierasz? – wycharczała – nic się nie odzywasz od dwóch dni. Co to za szlafrok? – zaczęła biegać po domu jak wariat, aż wreszcie trafiła do dużego pokoju. – Co to za krowa?! – nikt wcześniej nie krzyczał tak głośno w moim mieszkaniu. Zobaczyłem na suficie małe pęknięcie, ściany były chyba z kości słoniowej.

– I ja ci trzepałam nad rzeką?! – krzyczała i okładała mnie torebką, a co do rzeki, to chyba były najmiłsze chwile z nią. Moczyła rękę w zimnym strumyczku i mi waliła. Raz nawet spróbowała spermy, co było w jej wykonaniu przesadną dekadencją.

– Co tak stoisz, baranie, i się szczerzysz? – ryczała, wyglądając przy tym bardzo brzydtko. Nie przystoi młodej kobiecie tak wyglądać. Nie rozumiałem jej zupełnie. Ludzie się kochają ze sobą, niech będzie radość na świecie. Patrzyłem na nią niewyraźnie, a do mniejszego pokoju, gdzie staliśmy, weszła sąsiadka z góry, niestety naga, bo ja miałem jej szlafrok.

– Dla mnie to żaden problem, ja się umiem dzielić, świetnego masz chłopaka, jest taki wrażliwy – powiedziała czule i od razu podniosła mnie na duchu.

– Krowa milczy! – ryknęła do mnie buciara.

– To nie moja wina. Ludzie w pewnym wieku potrzebują czułości – zaczęła się przytulać do młodej.

– Krowa mnie puszcza! – ciągle mówiła w moim kierunku.

– Myślałem, że jesteśmy w otwartym związku. Nigdy o tym nie gadałiśmy, więc sam wyciągnąłem wnioski – odpowiedziałem szczerze, a bucik uderzył mnie jeszcze raz i ze łzami w oczach uciekła z mieszkania, krzyżąc „ja ci pokażę, co to jest otwarty związek!”.

– Nie rozumiem czasem ludzi – powiedziałem do mojego nagusa.

– Ja też, nie martw się, chodźmy skończyć.

Stała się dziwna rzecz. Tęskniłem za buciarą, było mi smutno, że wali ją całe miasto, a ja już jej nie mam. Zawsze byłem o nią zazdrosny, znaczy o jej ciało, bo jeśli chodzi o głowę, to nie było niczego do zazdroszczenia. Szlafrok mnie pocieszała, ale i tak miałem kilka trudnych nocy. Dusilem się i płakałem w poduszkę. O sąsiadkę nigdy nie byłem zazdrosny. Nie obchodziło mnie, że przychodzi ze spermą męża między nogami. Mogło ją walić nawet stado małą, psy, dorodne słonie. Nie wiedziałem, gdzie leży ta dziwnie ważna granica.

W międzyczasie odkrywałem więcej zapisków z zeszytu. Skończyły się historie tych zwierząt, a zaczęły się opowieści dziewczynki, kobiety imieniem I. Szykowała się ładnie do szkoły, włożyła uprany mundurek

i wyskoczyła z radością na ulicę, wchodząc w tłum podobnych dziewczynek zmierzających w kierunku szkoły. Wszystkie szły i się śmiały, gaworzyły, skakały po kałużach, ale I. nie do końca to odpowiadało i zaczęła powłóczyć nogami, iść coraz wolniej, rozglądać się dookoła, aż wszystkie dzieciaki ją wyprzedziły, weszły do szkoły i została sama. Kucnęła na chodniku i zaczęła obserwować małego robaka, korę drzew, oko w parku.

Sąsiadka była słodka, ale zaczęła mnie nudzić. Czułem, że więcej jej daję, niż ona mnie, mimo że robiła świetną ogórkową i zostawiała mi ją pod drzwiami, gdy przestałem jej otwierać. Odwiedzała mnie też buciara i chyba chciała mnie pognębić opowieściami o nowych chłopakach, ale zdołałem ją jeszcze kilka razy capnąć, gdy była pijana. Dużo pisałem, odszyfrowywałem zeszyt, znalazłem nawet na nim mały podpis ołówkiem, Irma Pieronek, bardzo zainteresowało mnie to imię i nazwisko, to musiał być jej zeszytik, sporo się onanizowałem, bo dziewczyn nie było, a właściwie ich nie chciałem. Szybko i skrzętnie wykorzystały to Andrzej Ruchacze, którzy przy każdej możliwej okazji mi to wypominali. Jeśli życie seksualne ma stanowić o hierarchii wśród ludzi, szaleństwo przekroczyło zdrowy rozsądek.

Odkryłem małą, żelazną jaszczurkę na wiekowej bramie. Miała mały języczek i przeżyła pewnie niejednego człowieka. Wyobraziłem sobie Irmę Pieronek, jak patrzy tak samo jak ja na małego stwora. Widziałem jej białe buty, szukające resztek dobrego świata. Wymiałała miotłą zatęchłe szczyry, koty, nietoperze. Radziła sobie nawet ze zmianami kolorów, pęknięciami, drewnianymi ścianami, szklanymi kulami, które czasem widziałem. Na pewno zastanawiała się nad czerwonym światłem nad doliną i miała swoją teorię, a może to właśnie ona zostawiła kawałek siebie, odchodząc do innych krain.

## Przepowiednie radiowe

Obudziłem się w kuchni. Nie było dużego pokoju. W małym było więcej szafek, a zeszyt wyglądał zupełnie inaczej. Był obłożony w nieładną okładkę, a ktoś zajeździł go tysiącem szlaków paznokci. W kuchence gazowej płynął czerwony gaz, wydawało mi się, że w sufit powbijane są listewki i kawałki cegieł. Wstałem z bólem karku i szukałem pokoju, ale nigdzie go nie było. Nie poznawałem mieszkania, ale uznałem, że tak musi być.

Wskoczyłem do wanny. Myślałem o syrenach nad miastem. Często budziły mnie w nocy, a nie miałem pojęcia, czemu miały służyć. Może ktoś znudzony nocną zmianą, samotny, chciał wezwać kilka duchów z ry-nien, podmurówek, starych jaszczurzych pomników, wielu warstw kurzu, kocich łbów, gościńców, asfaltu i betonu. Pławiąc się w wannie, przypominałem sobie, że dzwonili chłopaki, aby się pożegnać. Zrobił wreszcie ktoś prawo jazdy, więc biorą wszystkie swoje brudy i pamiątki, i jadą wmontować się w nowe miejsce, uczyć się, poznawać świat.

– Wyłaż, Win, nie mamy czasu! – wydarł się ktoś na ulicy, wrywając mnie z odrętwienia. Zrzuciłem szybko stare szmaty, ubrałem góralskie kapciuchy i pobiegłem na dół.

Stali na ulicy przy srebrzystym aucie. Byli jednym wielkim uśmiechem, może tylko Klimi był niewyraźny, ale on miał tak zawsze.

– No i co? Coś się kończy – rzucił Giga, opierając się o auto.

– Co ma się kończyć? – zagadałem go.

– Opuszczamy chujową dolinkę, pieprzony grajdołek. Koniec kwaśnych smrodków, tego przeklętego światła – cieszył się i patrzył w słońce.

Stali tam: Giga, Tonko i Klimi. Wydawali się tacy ładni. Wymuskani przez mamy, oblani detergentami, z szatańską biblią pod pazuchą, prezerwatywami.

– To co, kiedy wpadasz? – spytał Tonko.

– Jak się ogarnę ze wszystkim.

Zaczelismy się żegnać. Giga chciał przypominać jakieś stare układy przywitań i pożegnań z podstawówki, ale nie wiedziałem po co. Poklepalismy się z nim po plecach. Obiecał mi skalpy z czterystu cipek, ale znów nie wiedziałem po co.

Tonko robił dobrą minę do złej gry. Zaczął się wygłupiać, krzyczał na ludzi, udawał świnię, potem szybko podał łapę i zabunkrował się w aucie.

– Trzymaj się, Klimi, czytaj dalej i rozwijaj fetysze – zaśmiałem się, gdy podszedł, wciąż niewyraźny.

– Masz tu coś – wręczył mi karteczkę, podaliśmy sobie dłonie i patrzyłem po chwili, jak odjeżdżają w tym coraz mniejszym, srebrzystym przągu, który pędził w górę rzeki na tarło, zniszczenie i coś tam jeszcze.

Znów wskoczyłem do wanny. Chciałem oszukać sam siebie i wzmóc w sobie żal po odjeździe chłopaków. Zapłakać. Łzy miały kapać do zimnej wody. Prawdę mówiąc, za wiele nie czułem. Pewnie przez to żalosne pożegnanie, mogliśmy tego nie robić. Spotkać się w nocy, pogadać, byłoby mocniej i szczerzej, ale może tak musi być, pierwsze akty dorosłości, załatwianej rano, z tańcem rąk, zapiętymi kołnierzykami, żartami sytuacyjnymi.

Przeczytałem karteczkę od Klimiego. Było to krótkie opowiadanie. O domu w jakiejś głuszy. Była ostra zima i dzieciaki radośnie wybiegły na śnieg, rzucać się śnieżkami. Gdy odetchnęły po walce, zaczęły lepić bałwana, a gdy skończyły, z dumą mu się przyglądały. Nie trwało to długo, bo mama zawołała ich na ciepły rosół. To był koniec opowiadania. Nie przyznałbym się nigdy Klimiemu, że średnio mi się podobało, a do tego było dla mnie niezrozumiałe i za wiele nie można było z niego wynieść. Uznałem, że Klimi braki warsztatowe chciał załatać prostotą, która miała nas przenieść do dziecięcego Edenu, gdzie nie ma pięknych fabuł, tajemnic i suspense. Staralem się jednak je zinterpretować na siłę. Pomyślałem, że bałwan jest symbolem ojca, właściwe to cała zima nim jest. W środku czeka ciepła mama, która nie chce już wychodzić na dwór, do niego. I w bałwanie, i w rosole ważna jest marchewka. Może to symbolizowało wzajemne przenikanie się światów? Może dodajemy marchewkę bałwanowi, aby stał się kłamcą? I dzieciaki, i matka chciały zrobić ze świata



coś ludzkiego. Dzieci wreszcie przywołać ojca, ale i tak wygrał głód, chęć napełnienia brzucha.

Wiedziałem, że Klimi pewnie o tym nie pomyślał, chciał prostoty. Wylazłem z wanny, rzuciłem jego opowiadanie na którąś z szafek i też chciałem zająć się życiem.

Za ostatnie pieniądze kupiłem mikrofon i słuchawki oraz kilkaset teczek. Mikrofon i słuchawki miały posłużyć do stworzenia radia z wypowiedziami. Potrzebny był jeszcze internet, ale podpiąłem się pod jakąś sieć domową i ciągnąłem go radośnie, bezkarnie i w miarę szybko. Teczki potrzebowałem po to, żeby w nich chować historie, prawdziwe i zmyślone, o ciekawych ludziach z miasta. Każdy miałby swoją teczkę i gdyby chciał, mógłby do mnie przyjść i zaznać trochę transcendencji. Tak sobie wymarzyłem, ale najpierw głos dostały wypowiednie.

Nie miałem najmniejszego pojęcia, jak w internecie mogę nadawać głos w eter. Specjalnie nie lubiłem tej przestrzeni, nie rozumiałem jej. Mogłem gadać z całym światem, z kumplami, ale jakoś się do siebie nie odzywaliśmy, więc pewnie istnieją ludzie, którzy odrzuciliby każdą szansę, odwróciliby się na pięcie i poszli oglądać telewizję. Są takie chamy, co nie chcą wykorzystać szans i wolności.

Dobrze, że przypałała się do mnie chudy nastolatek z kamienicy, pomógł mi z radiem. To była informatyczna złota rączka, wszystko tak wypieścił, że mogłem usiąść i zacząć nadawać. Głupio, że czas mnie tak wyprzedził, pomyślałem. Byłem młody, a nie potrafiłem się dobrze posłużyć młodą technologią. Chłopak długo nie chciał powiedzieć, co robi w kamienicy. Widywałem go wcześniej, już w pierwszych dniach po wprowadzeniu. Wyglądał na zabiedzonego, zjeżdżał po poręczy, bazgrał po ścianach, kręcił się tylko, kopał kamienie. Kiedyś go zagadnąłem, a od tamtej pory, w każdej wolnej chwili, przyssawał się do mnie jak miły pasożyt. Nagrał mi sporo dźwięków, a potem puszczał je podczas audycji. Mieliśmy dźwięki strumieni, ptaków, szumiących górskich drzew, nawet rozrywanej magmą ziemi, bo nagrywał także z Discovery.

Pierwsza audycja miała zacząć się o 18. Było kilka kwadransów przed, siedzieliśmy z chłopakiem przed komputerem i popijaliśmy piwo. Sporo

już o nim wiedziałem. Andrzej Bitelow, syn Andrzeja Bitelowa, pijaczka z kamienicy. Chłopak nie lubił patrzeć, jak jego stary rozkłada się na łóżku w alko-bagienku, więc kręcił się po mieście, a gdy go zagadnąłem, przyczepił się do mnie i tak trochę mu matkowałem, zastępowałem ojca.

– Mogę być twoim pomocnikiem? – spytał całkiem poważnie, uciekając później wzrokiem i wciągając nos.

– Już nim jesteś, bez ciebie nie byłoby radia.

– To super – uśmiechnął się.

– Po co pijesz alko? Stary ci tego skutecznie nie wybił z głowy? – spytałem go po chwili, nie myśląc za wiele, a on zmarszczył brwi, skupił wzrok na kciukach i został w takiej pozycji do końca audycji, nie odzywając się za wiele. Wstyd mi było. Musiałem być z nim ostrożny. Bardzo łatwo było powiedzieć coś, co cięło go od środka, wprowadzając do ran glisty i złe ziarno, które potem obracał na różne sposoby w głowie, podlewał, obrabiał z tysiąca perspektyw, hodował w sobie, aż pęczniało do niewyobrażalnych rozmiarów, aby przebić mu czaszkę ostrymi cierniami. Nie zdążyłem go jednak uładzić, bo dochodziła 18. Zresztą, nie wiedziałbym, jak to zrobić, bo Bitelow to była bomba zegarowa, a czasem po prostu przestawało mnie to obchodzić, nie chciało mi się lulać jego boczeń i złej chemii w głowie.

Mimo obrazy sprawnie puścił dźwięki strumyka. Wziąłem do ręki mikrofon i zacząłem swój pierwszy w życiu święty przekaz:

Miarka się chyba przebrała. Podążając szklanymi traktami swego miasta, widziałem matki gwałcące swoje dzieci. Wykorzystywały do tego świeżą koniczynę, grzechotki i swoje zło pierwotne. Straszne, gargantuiczne twarze, zęby przesiąknięte ludzką krwią, kawałki ludzkich tkanek między ich podniebieniami. To był apokaliptyczny widok. Niebo płakało, a ja z nim i nie wiem, kto wył bardziej, ja czy wiatr szybujący między szczelinami skał. Tysiące grzesznych rąk i ust. Oskarżali siebie nawzajem. Szczekali jak sfora psów, które zerwały się ze smyczy. A gdybyście widzieli ich budy. Osrane, oblane szarą spermą, podtarte dupą zła. Wtedy coś we mnie pękło, coś pękło wtedy też w was. Czy człowiekowi wydawało

się, że sam ustala granice? Jest celnikiem, przechodniem, strumykiem granicznym w jednym? Tylko zły człowiek mógłby tak pomyśleć. Tylko złośliwa, siarczasta dusza mogłaby tak pomyśleć. Granice są ściśle ustalone, ale zły człowiek wołał o nich zapomnieć, uciąć sobie drzemkę od świadomości i dobra, nic nie widzieć, mieć przymknięte oko na gwałt i rozróby dziejące się przed nim. Korsarze codzienności, robiący abordaż na tradycję, patriotyzm, dobre myśli, naszą wzajemną miłość. Ja już ich wypatrzyłem. Nie mają wielkich, złotych statków. To nie tak. Oni nie chcą być zobaczeni. Ukrywają się pod płaszczkiem normalności, neutralności. Taki jest niby grzeczny, ale gdy trzeba, to za wiele go nie obchodzi. Ma przekrwione oczy, może wraca w nocy, nie wiadomo gdzie był. Z kim pił. Z kim sypiał. Co za robactwo przynosi do świetlistych domów? Musicie być czujni. Może to ktoś z was? Syn? Córka? Zięć? Gdy zauważycie pierwsze symptomy zeźlenia, nie bądźcie obojętni. Tylko działanie nas wyzwoli. Ustawcie takich przy murze i zapamiętałe policzkujcie. Wyrzucicie z nich tembr zła, a gdy są oporni, znaczy, że siedzi w nich orkiestra złych uczynków i myśli, a wtedy nawet nakłuwanie widłami może nie pomóc. Czyżby to był czas liżących płomieni, ognia, który nas od nich wyzwoli? Odpowiedzcie sobie sami we własnych sumieniach, lecz pamiętajcie, że będę i mogę podać pierwszą płonąca pochodnię.

Zakończyłem, a Bitelow włączył dźwięki wystrzeliwanej przez wulkan magmy.

– I jak było? – spytałem go podniecony.

– Nieźle, nawet się wkręciłem, a ty tak na poważnie?

– Wiadomo, jak mógłbym kłamać w audycji o charakterze religijnym? – powiedziałem, a Bitelow chwilę pomyślał, wyczuł podstęp i znów przestał się odzywać.

Po kilku dniach dostałem pierwsze wpłaty wiernych. Kilka pochwalnych mejli i sms'ów. W jednym ktoś napisał: „dobrze, że wreszcie ktoś wykurzy tych chujów i złodziei”, cieszyłem się, bo mogłem realnie pomyśleć o takim sposobie utrzymania.

Myślałem o posłudze religijnej już wcześniej. Byłem kilka razy w ko-

ściele i zauważyłem, że wszystko opiera się na słowach. Bez nich nie byłoby żadnej religii. Religia to słowa, historie, żarliwe porównania i metafory, cała kupa środków perswazji. Trybun stoi i namawia masy. Czasem ich straszy, czasem masturbuje językiem. Liczy się, aby zjednać sobie tłum, iść z nim razem przez szeroką ulicą i wskazać kogoś nieprzychylnych palcem, bo programowo potrzebujemy wroga. Kogo obchodzi, co oni sobie tak naprawdę myślą? Indywidualne rozterki są dla słabych, jedyne co nas interesuje w ich tępych flakach, to ta część odpowiedzialna za szybkie doznania, bo chcemy mocy: wzburzonych pięści, klejnotów, pomalowanych szminką ust. To nieważne co w środku, trzeba mieć ideę, może rozmytą, ale wspólną, unoszącą się jak mgiełka nad głowami, w tym pomogą dymy kadzidła i mirry, i kolejne kilka nut zagranych czerwonym jęzorem na czułych strunach ich serc. W takich chwilach wszyscy wąsaci, brodaci, w zielonych i złotych czapkach są jednym. Mają chorobliwą chęć przekonania robaków do swoich racji.

Cieszyłem się, że chociaż nie musiałem utrzymywać wizerunku jak oni, pokazywać się wiernym, ubierać się strojnie jak bombka. Siedziałem w gaciach i starych góralskich kapciach, i nadawałem swoje święte przesłania, a ze świata odpowiadało mi kilkadziesiąt kochanych, żarliwych dusz. Okazało się nawet, że jedna z nich to słodziutka piętnastolatka z mojego miasta. Spotkaliśmy się i powiedziała mi, że nie słyszała jeszcze większej pajsji w niczym głosie. Skończyło się na dwóch posiadówkach na ławce, palcówce i niczym więcej, bo nie chciał mi stanąć. Na początku się tego wstydiłem przez kilka dni, ale potem przestało mnie to zupełnie obchodzić.

Starałem się pomagać Bitelowowi. Kilka razy podstawiłem nogę jego ojcu, gdy ten gonił chłopaka na klatce, dzieliłem się z nim pieniędzmi z audycji, kupowałem alkohol, bo był za młody, aby sobie kupić samemu. Tego ostatniego pewnie nie powinienem robić, ale robiłem chyba to na przekór wszystkim podwórkowym pedagogom i ich moralizowaniu. Starałem się mu mówić, że jak jeszcze nie jest znudzony rzeczywistością, to żeby się nie brał za jej chwilowe zmienianie, tylko gdzieś pojechał, ale już było widać, że jest z tych, którzy lubią siedzieć na dupie, a czasem z nudów coś przypierdolić.

Trzeba było obchodzić się z nim jak z jajkiem. Był najczulszą komórką tego świata. Drażniło mnie to, ale lubiłem jego towarzystwo. Pewnie mu imponowałem na swój sposób, nawet mnie po czasie naśladował, nagrywał w wolnych chwilach swoje kazania, a mi to cholernie podbudowywało ego. Niegłupi był z niego człowiek, a czasem puszczał więzanki, których nie powstydzilyby się kamienne klauny z panteonów. Przeplatał je jednak gorszymi wstawkami, takimi jak:

– Win, wiesz co wymyśliłem? – krzyknął od razu po wejściu, gdy kiedyś smętnie siedziałem w kuchni i patrzyłem w bulgoczącą zupę, dobrze, że znów na fioletowym płomieniu.

– Ehe?

– Dobro i zło nie istnieją, wszystko zależy od sytuacji! – wykrzyknął i patrzył z oczekiwaniem w moim kierunku, a ja nie wiedziałem, co mam powiedzieć, bo w takich chwilach nie ma dobrych odpowiedzi.

Były momenty, że był prawdziwym skarbem. Na przykład, gdy rwałem sobie włosy z głowy i opowiadałem o Irmie Pieronek. Jakim musiałyby być aniołem, pewnie wykorzystywaną pomocnicą weterynarza, najwrażliwszym i najlepszym akcentem ziemi, a ziemia nawet nie wiedziała, co ma i kazała jej błędzić po sobie, a ja nie wiedziałem, gdzie to jest. Bitelow słuchał, ale nie wydawał się specjalnie zainteresowany. Pewnie ja wtedy byłem dla niego dość banalny i tak robiliśmy wspólnego słodkiego przekładańca w jednej z kamienic w czerwonym mieście pluskiew.

## Kolekcjoner historii

Czerwone światło igrało sobie ze mną. Byłem pewien, że gdy zamykałem oczy, uciekało w otchłań, może właściwie go nie było, ale gdy je otwierałem, robiło na niebie teatr, spektakl czerwonych deszczy i skał. Lubiło się rozlać po moich ścianach, pokazać drogi pierwszych osadników, kradzieży, przejścia przez bulgoczący strumień. Myślałem, żeby zabić okna deskami, albo zaklejać je codzienną prasą, aby przestało grasować w moim wnętrzu, tak jak robił to sąsiad z naprzeciwka. Gdy czerwień atakowała swoimi wybuchami światła, odzywały się deski starej kamienicy, głosy nieproszonych, nad nimi unosiły się małe tornada z drzazg i trocin, a zeszyt Army, gdy dotykałem go w takich chwilach, wydawał się gorący i bardzo niebezpieczny.

Miałem kilkaset teczek, sporo historii spisanych na kartkach i wiele krążących w głowie. Zaczepiałem ludzi na ulicach, nasłuchiwałem, gdy miasto milczało, ale gdzieś cichy pisk puenty czaił się w ciemnościach. Opisywałem ludzi nie imieniem i nazwiskiem, bo tych najczęściej nie znałem, choć każdego mężczyznę śmiało mógłbym podpisać „Andrzej”, lecz nie znałem tego, co najważniejsze, czyli nazwiska.

Była to bardziej kolekcja historii pewnych typów ludzi, zawodów, przyzwyczajień, czynności. Przepuszczałem ich słowa, gesty, codzienne tupanie nóg, zapatrywanie na świat przez swój filtr i powstawał kolaż. Jeden świat był na zewnątrz, w odlanym z kamienia mieście, a drugi w papierowych teczkach. Coś im kradłem z głów, kieszeni, duszy, ale dostawali w zamian kilka kolorów, pętli, rozbłysków codzienności.

Bitelow, gdy się dowiedział, co planuję, od razu chciał być moim pomocnikiem, tak jak przy radiu z przepowiedniami. Ta sprawa zainteresowała go jednak dużo bardziej, przez nią zaczął regularnie wagarować. Obiecał, że będzie codziennie chodził po mieście tak długo, dopóki nie usłyszy odpowiedniej historii. Było to, po początkowych samotnych poszukiwaniach, całkiem wygodne, bo leżałem leniwie na kanapce, a on wieczorem dostarczał świeżych opowiadań, które tylko musiałem lekko ubarwić i przelać na papier.

Kończył się pierwszy dzień jego roboty, wpadł bez pukania i podniecony zaczął:

– Mam dobrą, mam dobrą historię – skakał jak małpka.

– Zaczynaj – sapnąłem z zamkniętymi oczami.

– Mam historię nauczyciela, mieszka koło rzeki. Znasz go. Długo go musiałem męczyć, żeby coś opowiedział, a jak się znudził po dwóch zdaniach, to mu zagroziłem, że się od niego nie odczepię. Podziałało. I taką historię mi opowiedział:

Żona nigdy nie pozwalała palić mi papierosów. Jak mnie zobaczyła z jednym, to kończyłem z kopem w dupie, albo tydzień bez seksu, więc było, o co walczyć. Wymyśliłem przed laty taki sposób, który się sprawdził bardzo długo, ale jak wszystko na tym świecie do czasu, do czasu.

Schodziłem z trzema, czterema fajeczkami, dobrze ukrytymi, miałem taką dziurkę w kurtce i je tam wciskałem. Brałem też beret, bo był ważny w całej operacji i szedłem do swojej komórki na podwórku, zasiadałem w ciemnościach, ubierałem czapę i ćmiłem jak sam pan bóg. We wnętrzu przeraźliwa ciemność, pajęczce rodziny, kilka kropel drażących podziemia. Było widać tylko moje białe gałki oczne i ognisty punkt. Wiedziałem, że z zewnątrz to musiał być straszny widok, więc przestałem się bać żony, bo i tak jakby przyszła, to by mnie nie poznała, ale nie przychodziła wiele lat.

Siedziałem w zatęchłej ciemności, na drewnianym pieńku, paliłem trzeciego i już miałem się zbierać, ale ktoś chyba szedł w moim kierunku. Po chwili w drzwiach ukazała się żona, wyszczerzyłem się do niej jak pies, a ona krzyknęła z przestachem i uciekła do domu. „Potwór, potwór” – dochodziły jeszcze długo jej przeraźliwe wrzaski.

Wyrzuciłem fajeczki, schowałem beret, otrzepałem ubranie i poszedłem ją trochę uspokoić. Gdy wszedłem, rzuciła się na mnie i zaczęła się przytulać.

– Dobrze, że jesteś, ale się wystraszyłam, w naszej komórce był potwór – tuliła się i trzęsła jak królik.

– Co ty opowiadasz, potwory w mieście? Na wsi to rozumiem, ale u nas żadnych nie ma – chciałem ją uspokoić.

– Musisz to sprawdzić, Andrzejk, proszę cię – naciskała, a ja szybko

się zgodziłem, bo wiedziałem, że pójde sobie jeszcze na jednego papieroska do komórki, a potem przegonię podziemną maszkare.

Żona chciała dać mi świetlisty kaganek, ale powiedziałem jej, że takie stwo-ry się łapie po ciemku, zszedłem na dół i zacząłem sobie spokojnie popalać.

Chyba przysnąłem, bo obudziły mnie męski głosy przy wejściu. Ktoś wzięł mnie za ramiona i wyprowadził na podwórko.

– Nie może pan po prostu powiedzieć żonie, że lubi pan zapalić – rzekł z niedowierzaniem policjant.

– Nie mogę, ona wtedy nie daje tydzień.

– Krzyczała tak przez telefon, że sami się wystraszyliśmy, już myśla-łem, że naprawdę jakiś dziwoląg niemowa mieszka w komórce i baliśmy się przyjechać – powiedział drugi.

– No, dobra, dobra wymyślę coś nowego – rzuciłem do nich, wiedząc już, że z seksem będę musiał się pożegnać na dobre pół roku, bo żona jeszcze bardziej od tytoniu bała się palących potworów.

– Nie najgorsze – powiedziałem do Bitelowa, gdy skończył i czekał na opinię – ale trzeba będzie ją trochę ubarwić, ja bym postawił na sen nauczyciela albo, że naprawdę pojawił się potwór. Niemowa, przetrzymy-wany w drugiej komórce. To byłoby to.

– Zgwałciłby żonę? – ucieszył się Biti.

– To jest nauczyciel, może by nauczył dziwoląga mówić w tej ciem-ności. To jest beret, to jest papieros i tak dalej.

– Takie niepłatne nadgodziny?

– Po prostu z nudów i chęci, aby mieć swoją małą tajemnicę.

– Jakby się to skończyło. Uczeń przerósłby mistrza?

– Myślę, że nauczyciel nauczyłby go palić, a potem pić i zwierzałby mu się, że żona przytyła, śmierdzi jej rów, a tamten odpowiadałby kilko-ma nauczonymi słowami i chrząknięciami. Taki powrót do jaskini. I wi-szące w powietrzu pytanie, kto tu jest bardziej cywilizowany. Jeśli chcesz dramatu społecznego, to niemowa mógłby zostać policjantem.

– I co by sobie prawdziwy nauczyciel pomyślał o tej nowej historii? – spytał cmokając Bit.



– Miałby tyle oleju w głowie, że wiedziałby, co jest grane. Przecież to nie jest już historia o nim.

– Nie jestem tego taki pewien – zawyrokował Bitelow, a ja wziąłem się za transkrypcję oralności na wersję papierową.

Nie chciałem być gorszy od swojego pomocnika. Poza tym znudziło mi się obijanie i sam wyszedłem na ulicę po materiał. Szybko wpadł mi w oko tytan z wózkiem, który pielgrzymował po gardłowych przesmykach, falistych ulicach i kataraktach miasta. Woził stare pralki i szrot, który udało mu się znaleźć albo ukraść.

– Opowie pan coś? – zagadnąłem go.

– Za ile? – naciągnął czapkę, a w jego oczach widziałem dwudziestokaratowe gałki.

– Za browara.

– Za dwa.

– Umowa stoi – podaliśmy sobie ręce.

Siedziałem w jego nie najczystszy domu. Od dawna chyba pluł pod nogi, kiedy chciał i gasił papierosy na dywanach, bo ziemia przypominała przypalony, zroszony placek ziemniaczany. Nie miał prądu, wody ani gazu, ale jakoś sobie radził, kaszląc, srając, szukając spokoju.

– To opowiadaj, pan – podałem mu dwie puszki piwa.

– Pobili mnie raz w nocy – powiedział z dumą, otworzył pierwszą puszkę i wypił ją prawie na raz.

– I co dalej?

– No nic, dostałem po dupie, ale jakoś się dowlokłem do domu, patrz pan tu, to jeszcze z wtedy – pokazał brudnym od węgla paluchem na swój łuk brwiowy.

– No dobra mamy konflikt, ale za co pana pobili i jak się pan odegrał?

– Nie znałem ich nawet... A co ja bym mógł? – otworzył drugą puszkę i po chwili już jej nie było.

– Co to za historia?! – okrzyczałem go – to musiały być przecież jakieś porachunki gangów zbieraczy, a potem pan wyskoczył na miasto z krwawiącą twarzą i rurką miedzianą, do sprzedania za 8 złotych w skupie.

– Nic takiego się nie działo – oblizywał się po litrze piwa i zgniótł elegancko dwie puszki.

– Rozumiem, że pobicie to kulminacja, środek fabuły. Pewnie pan potem długo rozmyślał o tym? Śniło się to panu? Albo przewidywał pan wcześniej to pobicie, ktoś pana ostrzegł, może głos w głowie?

– Pobili mnie i koniec. Nie wiem, kto to, nie rozpamiętuję. Było, minęło. Co pan chce usłyszeć?

Wyszedłem z jego jamy, trzaskając drzwiami i smętnie wróciłem do domu, gdzie Bitelow był już gotowy do kolejnej zasłyszanej opowieści.

– Mam następną, mam następną – cieszył się.

– Jak ty je zbierasz, Bit? – usiadłem na kanapie.

– Normalnie, siedzę i słucham, nic w tym trudnego.

– No, opowiadaj – westchnąłem, zazdroszcząc mu grzybobrania.

– Babka z mięsnego, mało ma klientów, to się rozgadała. Usiadła sobie koło tych kielbas, niektóre to jej takie włosy długie robiły. Wyobraź sobie takie włosy, tłuste, kielbasiane.

– No, zaczynaj właściwą historię, Biti – ponagliłem go, a on chwilę się poboczył i musiałem go długo namawiać, aby znowu zaczął.

– Jej dwaj synowie zawsze marzyli, aby przepłynąć naszą rzekę, tylko nie wiedzieli, jak to zrobić. Próbowali na starym bojlerze, trzcinach, ale wszystko się zatapiało po kilku metrach, aż wreszcie wpadli na pomysł i połączyli dwadzieścia dużych pustych bukłaków po wodzie, nałożyli kocyk, aby było wygodniej i puścili się z prądem.

Płynęli spokojnie, oglądali schodki do zalewanych piwnic, rzeczne śmieci i machali zdziwionym przechodniom, którzy wesoło im odmachiwali. Wszystko było świetnie, dopóki nie wpłynęli pod most. Ktoś w jego wnętrzach, przybił grubymi, żelaznymi kołkami kilka kotów. Chłopcy tak się wystraszyli, że wpadli do brudnej wody i jak najszybciej wdrapali się na ulicę. Podobno byli tak roztrzęsieni, że nie mogli spać i czule przytulali się do swojej żywej, domowej, białej, puchatej kotki Marcysi.

Po kilku dniach nabrali śmiałości i poszli z ojcem pod most. Wdrapali się pod niego. Kotów i kołków już nie było, tylko wszędzie sporo krwi, a jeden bukłak, który zostawili wraz ze tratwą, był do połowy napełniony krwią.

- Takie horrory się tu dzieją? – zdziwiłem się.
- Może to ona tym razem zmyślała – odpowiedział trzeźwo Bitelow.
- Kto wie, czy wszyscy nie opowiadają tej historii ze swoimi synami w roli głównej. Co byś w niej zmienił, Biti?
- Właściwie nic, podoba mi się.
- Ja chyba jedną scenę, chłopcy umazaliby się niechcący krwią kotów, widząc je pierwszy raz, a później pobiegliby szaleńczo do domu i wtuliliby się w swoją kotkę, w Marcysię, i pobrudziliby ją krwią tamtych.
- Może jakby zobaczyli tę krew w bukłaku, to ojciec by się do niej dorwał i ją zaczął spijać? – Bitelow wydawał się uradowany.
- Nie przemycajmy symbolicznie własnych traum, Biti, wtedy można za bardzo zanieczyścić historię własnym brudem, ale jeśli miałyby to być terapia, to czemu nie, a w sumie, jakby się okazało, że to ojciec zabił koty, czemu nie... To dodaję scenę pobrudzenia Marcysi krwią, a później gdy schodzą z ojcem pod most, to on się nie rzuca od razu na bukłak, bo to byłby pastisz thrillerów, ale szepcze do synów: „mam dla was posiłek, chłopcy...” i zakończyć w tym momencie.
- Jestem na tak. I kto tu jest zwierzakiem? – spytał retorycznie Bitelow, a ja zabrałem się do pisania.

Gdy zebrałem już kilkanaście historii, trochę je pomasaowałem, odzieliłem mięso od tłuszczu, nazarłem się odpowiednio. Chciałem podzielić się z wiernymi swoimi przemyśleniami w radiu z przepowiedniami, wziąłem do ręki mikrofon i posłałem w eter ten święty przekaz.

Jesteśmy otoczeni przez historie. Pamiętajcie: są te owocne, odżywcze, wybijające niczym strumyk z gór życia i te czarne niczym chmury ptaków. Nie muszę wam mówić, które warto hołubić. Nasz dobry stwórca nie jest typem mówcy, tylko spokojnego, stoickiego filozofa, który mówi tylko wtedy, kiedy uważa to za stosowne. Dla niego każde słowo to złoto, srebrzyste struny dźwięków, za to ciemny szkodnik, zwany szatanem, to typowa pleciuga. Nawinałby nas na swą igłę słów, nieustanne wypływanie straszliwych, czarnych wizji, sytuacji niebezpiecznych, nierealnych, bezsensownych, prowokacyjnych, złych, ociekających cielesnością, bez

jakiegokolwiek dobrej funkcji, formy i przesłania. Nie ma sensu słuchać diabelskiego gaworzenia, to tylko niedojrzałe dźwięki zła, bełkot małego dziecka, które nie poznało jeszcze dobra. Jeśli naprawdę wierzycie i chcecie być lepsi, iść białym szlakiem prawości, omijając zasadzki zbójów nierządu, bądźcie głusi na jego knowania i ciągle sączenie zakłętych opowieści. On wykorzysta ochoczo tematy wydające się atrakcyjne: seks, przemoc, narkotyki, chce nas skusić, pozbawić godności, prawdy, estetyki życia, lecz nie dajcie się, prawdziwe życie, życie duchem spotka nas po śmierci, w bezkresnej, białej przestrzeni, gdzie żadna historia nie będzie już potrzebna, wszystko będzie jaśniejsze niż słoneczna aura, a szatan będzie niejasny jak brak słońca, bądźcie na niego głusi, czekajcie nawet całe życie na jedno słowo wielkiego, wszechmocnego stwórcy zamiast wysłuchiwać codziennej beznadziejnej paplaniny złych bożków i bóstw.

Dni mijały, i ja też niczym Bitelow zacząłem zbierać coraz lepsze historie. Miał rację, trzeba było po prostu usiąść i spokojnie czekać, wtedy nadchodził ten moment.

Gdy zamykałem się w pisaniu, czerwone światło wzmacniało swoją siłę, jego magiczne diody i żarówki były napędzane coraz większą energią. Przystawałem się go jednak w takich chwilach bać. Było mocne, wyraźne, krwiste, wybuchające za górą nad miastem, ale już mniej straszne, może zrozumiałe, choć pewnie wciąż z możliwością złapania mnie i pochłonięcia przez wielką, szkarłatną, bezduszną paszczę. Mordy spływających strumieni, obrośniętych mchem głązów, lawiny małych kamieni, kabli runa leśna, patyków elektryczności, styku wylanego asfaltu z żółtą trawą i ciałem jaszczurki.

## Wilk dubstepowy

Jesień w małym miasteczku to problem. Psy zrzucają kłębki sierści i tak się tworzą tego typu miejsca. Tubyłcy jedzą wywary z liści, na straganach sprzedaje się eklery z błotną papką, znudzeni mężczyźni zagryzają kasztany i żołądźcie, czekając na dostawę wódki, która się spóźnia z powodu mgieł i siąpiącego deszczu na serpentynach w kopcach nasiąkniętych wodą i niechęcią. Dzieci robią zaś z kasztanów i zapałek jeszcze raz swoich ojców, bo ci z ciała i duszy się nie sprawdzili.

Zdarłem z zeszytu brudną okładkę. Zamieniłem ją na nową. Przepisałem kilka historii Irmy Pieronek. Jej dziewczyna imieniem I. postawiła wiklinowy kosz na słupie w centrum miasta i myślała o tym, co się pod nią dzieje. Sądziła, że nic, że wraz z nią i jej zamknięciem miasto stanęło. Wszyscy myślą o jej smutku, wiklinowych trudach, nawet przestali pić poranną kawę, czytać prasę, obcinać swoje paznokcie. Spoglądają ku niej i są coraz bardziej zmartwieni.

Chłopaki zaprosili mnie do dużego miasta. Podobno już się zadomowili i mówią, że nie wrócą do gówna, że jeśli chcemy się zobaczyć, ja muszę jechać do nich. Po problemach w Nowej Soli nie lubiłem wyściubiać nosa poza swoją małą dolinkę. Coś to we mnie zamknęło, ograniczyło, zostawiło. Wołałem małe przestrzenie, znane widoki, te same ścieżki. Zastanawiałem się chwilę, czy jechać, gdy gadałem z Gigą przez telefon, ale jego namowy były tak żarliwe, że ruszyłem bardziej dla nich, niż dla siebie. Bitelow chciał jechać ze mną, musiałem mu tłumaczyć, że to są złe miejsca, że zwariuje, przywiezie choroby, zarazi ojca, wyda wszystkie pieniądze.

– Czytałeś Biblię? – spytałem go, gdy wczepił się w moją kurtkę i nie chciał puścić.

– Trochę.

– Pamiętasz Sodomę i Gomorę?

– Wiadomo. Wystraszyłem się wtedy i nie mogłem spać. Dużo w niej

strasznych rzeczy, w tej Biblii. Rodzice nie pozwalali mi oglądać filmów po dwudziestej, mówili: „czytaj Biblię, synu”, a jak ją brałem do ręki, to tam było więcej krwi i sensacji, niż u nich na ekranie.

– Właśnie tak... więc ja jadę do Sodomy i Gomory.

– One nie istnieją – wczepił się mocniej.

– To metafora, Biti, ale nie chciałbyś tam być, mówię ci szczerze. Posłuchaj swojego pastora – zmarszczył brwi, powoli puścił moją kurtkę i poszedł z płaczem w tym swoim ortalionie.

Przejechałem autobusem przez mokrą, górską przełęcz. Ostatnio, jak tędy jechaliśmy, było całkiem inaczej, ale wiadomo jak to się skończyło. Wartburg dalej stał na parkingu policyjnym 200 kilometrów dalej i postanowiłem go tak zostawić, razem z perfumami pedagogicznej cipsy, świętym Krzysztofem, smrodem potu i kilkoma obłózkami myśli w środku.

Z dworca odebrali mnie Klimi i Tonko. Giga miał dziewczynę i musiał się nią zajmować. Tonko też od razu pochwalił się dziewczyną, a Klimi nie byłby sobą, gdyby nie był cicho.

Dziwne mieli mieszkanie. Jeszcze wyższe sufity niż u mnie, a z ulicy ciągły przeraźliwy gwar. W dużych miastach po dwóch godzinach bolała mnie głowa i musiałem uciekać do małych, spokojnych nisz. Ludzi można z grubsza podzielić na peryferyjno– prowincjonalnych i tych głównie–nurtowców, którym nie przeszkadza zgiełk i nie boli ich od niego głowa.

Była szesnasta. Otworzyliśmy pierwsze brony, potem mieliśmy wypić kilka wódek i iść w noc, bo według nich musiałem zobaczyć noc dużego miasta, światła, szkło i dzidzie w celofanach. Przyszedł Giga. Cały się świecił. Już wiedział, jak się ubierać w dużych miastach. Rozsiadliśmy się na kanapie.

– Co można jeszcze robić w tym naszym miasteczku chorym na gripę? – spytał.

– Ja się dobrze bawię. Czasem pogadam przez mikrofon, trochę popiszę, poleżę w wannie, potem na kaflach w kuchni. Żyć nie umierać.

– Człowieku, tutaj jest inna jakość życia. Co ja gadam, to jest inne życie. Tam u nas, to co? Patrzy się na rzekę, żyje wraz z otwarciem i zamknięciem sklepu, tutaj robisz, co chcesz.

– Co to za dziewczynę masz? – chciałem lekko zgasić jego podpaloną głowę.  
– Typowa dziesiątka, sam ją dzisiaj zobaczysz, to zwariujesz! U nas takich nie było. Ona jest taka okrągłutka, tam gdzie trzeba. Jakbym sam ją ulepił i wyjeździł swoimi rękami na kole garncarskim.

– A twoja, Tonko? – chciałem powstrzymać Gige.

– Też ją dzisiaj zobaczysz. Chodzi zawsze w rajstopkach. Marzenie. Zaczepiałem ludzi na przystanku swoim zwyczajem. Coś gadałem, że życie się wykluło z bagietki francuskiej, a jej się to tak spodobało, że się spotkaliliśmy następnego dnia. I ona tylko „mów, mów, Andrzejku, chce ciębie ciągle słuchać”, mi już czasem śliny brakuje, ale są profity!

– A ty Klimi? Dalej starość to radość? – zaśmiałem się, ale on tylko się krygował na krawędzi kanapki.

– Biega po barach dla czterdziestek i wkłada im łapy w masło. Nic się nie zmienił – powiedział za niego Tonko.

– Wcale nie – wybełkotał Klimi – już mnie nie obchodzą.

Siedzieliśmy dalej na kanapce. Z wierzchu chyba się już lekko zmienili, ale czułem, że jak zdmuchnęłoby się z nich kilka warstw kurzu, to dalej byłyby to stare, dobre chłopaki.

– Przyjebimy coś ładnego – Gidze zapaliły się oczy – spuścisz się w gacie, to jest miasto dragów, u nas nic nie było.

– I co tak ćpacie przy dziewczynach? W ogóle myślałem, że będziemy sami, pośmiejemy się, a wy ciągacie ze sobą jakieś poczwary.

– Weź spierdalaj, one wrzucają z nami, tak najlepiej. Poczwary to były te twoje, o których opowiadałeś, tutaj jest klasa. U nas w mieście ja nigdy nie gadałem z dziewczyną o filmach, literaturze, a tutaj każda tak umie.

Giga rozrobił wódkę z sokiem i wlał mały dodatek. Spytałem go, co to jest, ale rzucił dziwną chemiczną nazwę, której nie zapamiętałem.

Tonko puścił muzykę i podrygiwał. Nie wiedziałem, co to było, brzmiało jak joczenie robotów. Wódka powoli się kończyła, zbieraliśmy się do wyjścia.

Miasto było ciężkie, lepkie od wody, światła tworzyły swoje korytarze, rozety, mgławice. Szuraliśmy stopami po bruku, zewsząd szły małe armie, aby spotkać się w jednym miejscu i bić powietrze, siekać dym i światło.

– To gdzie te wasze dziewczki? – wyrwałem kawałek miejsca dla swoich słów w jesiennej mgle.

– Będą w środku, polubiły się nawzajem, zobaczysz jakie cacka – Giga puścił swój dymek.

Duże miasto chyba olewało pory roku. Jedyne, co je napędzało, to jeszcze tylko dzień i noc, z tym się nie udało wygrać, ale pewnie do czasu, bo kiedyś będą całe pod granitowymi dachami.

Weszliśmy do kreciego bunkra. Tonko był już tak naćpany, że szepotał mi do ucha coś o Kelvinie Kleinie, że jest mewą i wciąga sól morską nosem. Też już czułem w sobie wir, ktoś w podziemiach zarzynał roboty piłą mechaniczną. Ktoś chciał nam wyrwać flaki, sprytny sposób na obóz koncentracyjny, przychodzą sami, a potem wyrwa im istnienie przez ultradźwięki. Fale i obręcze dźwięku powoli chodziły po karku. Kilka młotków wbijało się w każdy centymetr ciała, czułem, że stopy mi krwawią, a krew liżą robocie służusy.

Doczłapaliśmy się do stolika dziewczyn. Rzeczywiście były dobre. Przywitaliśmy się, a Tonko i Giga od razu się do nich przyssali. Byli obrzydliwi, gdy tak robili, Klimi chyba potwierdzał moją opinię. Mieli w ustach kłębowisko żmij, nacierali się wydzieliną, pewnie niedługo pojawi się sperma.

Siedzieliśmy w głębinach. Roboty dokazywały. Głośniki z puszcza nacierały zewsząd. Nie wiem, czy te biedne roboty były wykorzystywane przez ludzi. Płakały, jęczały, cierpiały, a może to lubiły. Oglądałem dorodne, jak świeże chleby, uda ich dziewczyn, zroszone kropelkami potu. Z chęcią bym wszedł w jedną, wyszedł ustami, zadomowił się w drugiej. Pewnie bym tego nie zrobił, bo to ich dziewczyny, ale nie wynikałoby to z wewnętrznego przekonania, tylko trzymania się kumplowskich norm. Tonko wreszcie z niej zlazł. Trochę mi go było żal, że się musi zgrywać. Trzymać związkowych zasad, mieć swoje powiedzonka z tą dziewczyną, żarciki, wspólnie przeżyte chwile. Ona myślała, że jest zwykłym, normalnym, wygadany chłopakiem, a to był pierdolony wariat. Pewnie tak cierpiał, że musi stroić i strugać poprawność, bo w środku miał topielisko, bagno, słodkie gazy, wykolejone pociągi, lasy ruletki, ciągłe taso-



wanie kart, zgrzyty, wywrotki gruzu, scalanie i fuzje nieprzystających do siebie rzeczy. On codziennie wstawał jako nowy człowiek. Chciał pewnie biegać nago, onanizować psy, folgować swojej chorej głowie. Jakby nie było policji, nie zależałoby mu na dziewczuchach i nie bolałyby go pięści mięśniaków, na pewno by to robił.

Zagadałem do jego dziewczyny:

– Co robisz w życiu?

– Jestem artystką, maluję obrazy – odpowiedziała z dumą.

– Wolałabyś, aby w budynku spłonęło sto pięknych kobiet czy sto brzydkich? – zadałem jej pytanie z estetyki.

– To wszystko zależy, ale pamiętaj o wewnętrznym pięknie – cmoknęła w powietrze, a ja przestałem z nią rozmawiać. Próbowала zagadać potem kilka razy, ale udawałem wariata, szczerząc zęby, żeby zobaczyła, co ją czeka z Tonkiem, który już nie wytrzymał i udawał godzillę na parkiecie.

Klepnałem Klimiego i też poszliśmy w tłum ciałek. Ręce i nogi same się wrywały, i właściwie nic nie musieliśmy robić. Jakiś dziwak rozsmarowywał przed nami czarne naleśniki i dodawał do nich przyciskami owoców. Musiała być nad nami żelazna świńska głowa, prezent od boga dla Polski. Ktoś chciał nas posiekać jak świeży szczypiorek. Fontanienki śliny, śluzu i potu zatrzymywały się na stop klatkach. Nie wiedziałem, że ludzie są leguminą. Roboty nakurwiały w menażki, przyszły do tanich barów dokujących. Chciały kolejkę smaru, gwoździe, ciche trzaski śrubek. Spływały na nas płaszcze i płaszczyki mrowiących dźwięków. Kilku osób było podłączonych do prądów. Wiatraki tańczyły. Ktoś może zamontował pod nami czakram. A w nas mistrz kuchni przygotowywał potrawy świąteczne, potem złapie za rękę i potrawa wyjdzie porami skóry. W uszach były przysawki robocich much, najpierw ssały, a potem z powrotem pluły do środka. Skrzeki z głośników cięły z nas gyros. Chmary ptaków wydobywały się z mroku. Kilka małych bombek, a potem grzyb atomowy i siła odrzutu, siła nośna. Chciałem być wtedy w muzyce, może tam byłoby już zupełnie dobrze i lepiej, skończyłaby się odpowiedzialność. Włączyliby mnie, kiedy by chcieli. Być takim werbelkiem, odegrać swoje i potem znów spać na półce. Muzyka się podbijała i zwalniała. Raz na kolanach,

później podbicie pod sufit. Przede mną bawiła się jakaś ruda pipa. Miała na sobie kawał żółtej szmaty. Nic więcej. Zbliżyłem się do niej i czasem lekko muskałem, potem byliśmy razem w muzyce, mogła być cykaczem, ja byłem stopą. Uśmiechała się. Nie była najpiękniejsza. Miała cerę jak z wojny bałkańskiej, ale zupełnie mi to nie przeszkadzało. Była chyba kobietą. Wyczułem cycki, biodra. Długie włosy. Jej układ kostny i mięśniowy nieźle się ruszał. Łapałem ją za tyłek. Nie przeszkadzało jej to. Gładziłem po brzuchu, dotykałem cipki. Poczułem nagle, że roboty się z nas śmieją i musiałem wziąć ją na bok.

– I co mamy teraz pierdolić głupoty i się poznawać? – spytała, podśmiewając się.

– Nie ma takiej potrzeby, chodź gdzieś.

Poszliśmy do kibla. W świetle była gorsza, ale szybko zaczęła łapać mnie za kutasa i wcale nie musiałem na nią patrzeć.

– Siadaj – warknąłem na nią, gdy byliśmy w kabinie.

– Dobra, spokojnie – usiadła, a ja zacząłem walić nad nią konia

– Nie chcesz pomocy? – zaśmiała się.

– Nie, siedź i opowiadaj, jak pierwszy raz się pierdoliłaś.

– Co? – spytała głupio, ale gdy ją lekko klepnąłem w twarz, zaczęła coś stękać.

– Miałam czternaście lat... z pierwszym chłopakiem.

– Szczegóły, kurwa – klepnąłem ją znowu i zawzięcie waliłem konia, czasem ocierając gałką o jej parszywą mordkę i małe cycki.

– U niego to było, trochę mnie bolało... nie był delikatny.

– Opowiadaj – dalej zawzięcie walczyłem z penisem – ciągnęłaś mu?

– Tak, kiedy chciał... lubił to, nie wziąć ci go do ust? – złapała go i zaczęła przyciągać do swoich warg.

– Nie, masz siedzieć – tarłem go, sterczał jak wariat – opowiadaj.

– Lubię łykać spermę. Różną się w plenerze.

– Dalej.

– Lubię w dupę, to dla mnie tak samo jak w cipę, nawet lepiej. Lubię z dupy do buzi – paplała, żując gumę, a ja czułem, że zaraz dojdę i zbrukam jej twarz, o ile było to jeszcze możliwe w jej przypadku.

Odchyliłem głowę do tyłu i trysnąłem na nią. Zalałem kilka ładowisk wagrów, kępki blizn, wulgarne usta, a ona zgarnęła wszystko palcem i wylizła do czysta.

Ubrałem spodnie i wyszedłem z kibla, słysząc, jak się drze: „to wszystko?!”

Znów wtopiłem się w tłum, chciałem od niej uciec. Nie chciałem się oceniać z żadnej perspektywy. Tańczyłem z robotami żelaznego walca i płaśawicę nieświętego wita. Dziadkowie robotów wystukiwali rytm elektronicznymi pionkami do szachów. Przypomniałem sobie nagle, że moi starzy kłócili się o kupowanie i robienie śniadań, i nie rozumiałem, jak tak można, zatruć sobie ranek, potem miesiąc i następne lata. Zastanawiałem się, czy są ludzie, którzy codziennie tu przychodzą. Tańczą z robotami, spadają w otchłań. Potem wstają po południu, coś jedzą, pije kawę i znów zaczynają. Trochę mnie przerazili, może nawet bym im tego zabronił, gdybym mógł. Nagle wypatrzyłem Klimiego. Podrygiwał smutno, ale złapałem go i wywlokłem na dwór.

Palił papierosa na bruku i patrzył w mrok. Nic się nie odzywał, ale tym razem siedziało w nim więcej baniek smutku.

– Wiesz, Klimi, chyba już coś zrozumiałem – wyjąłem z ręki wyswiechtaną karteczkę z jego opowiadaniem i wsadziłem mu do kieszeni kurtki, ale on się nie odzywał.

– Może to właśnie to – kontynuowałem – wyjść na śnieg, zrobić bałwana, a potem matka woła cię na rosół. To wszystko. Czego chcesz więcej?

– Nie wiem, Win – odpowiedział, spluwając na ziemię.

– Co ci jest, chłopie?

– Ja już nie biegam za starymi babami, nie słuchaj tego, co oni gadają. Robiłem to, bo nie miałem pomysłu. Nie przemyślałem tego. Kiedyś jedna wbiła mi szpilkę w fiuta, a ja nic nie powiedziałem – wyrzucił to z siebie bardzo szybko.

– Spokojnie, Klimi, nawet jakbyś walił starego wuefistę w dupę, to mnie to nie obchodzi, jeśli sprawia ci to przyjemność. Nie martw się.

– Ostatnio poznałem dziewczynę w naszym wieku. Przeczytała pra-

wie to samo co ja. Myślmy tak samo. Przegaduję z nią całe noce. Nigdy czegoś takiego nie miałem, ale, kurwa, nie za ładna – musiał chyba to wywalić z bebecha.

– Nie wiem, to jest chyba największy problem filozoficzny, Klimi, tego świata, nie jestem w tobie, nie gadałem z nią całą noc, nie będę się bawił w tanie pocieszanie.

– Wiem, wiem, jakoś to ogarnę – szepnął i znów zaczął milczeć.

– Idźmy na śnieg, Klimi, niedługo będzie, zrobimy bałwana, może jakimś cudem nasze matki zawołają nas potem na rosół – rozmarzyłem się.

Zeszliśmy znów do podziemi. Powoli się dobijaliśmy. Giga szastał kolejnymi kolorkami z kieszeni. Podobno coś dorabiał na boku. Mieszaliśmy się w stumetrowej szklance, roboty już były zmęczone, teraz śpiewały żaby. Tonko bawił się w strumień świadomości, sycząc kolejne kwestie, a jego dziewczyna spijała każde słowo z jego ust. Mówił coś o ślunskim Krokodylu Dundee, który mieszkałby w familoku i łowił gady w brudnych pokopalnianych stawach. Siły odchodziły. Małe dzieci z przedszkola mazały nam głowy od środka kredkami świecowymi, wiedzieliśmy coraz mniej.

Podobno później rozrabiałem. Biłem szkło. Nazwałem dziewczyny chłopaków kurwami i żądałem od okraglutkiej Gigi, żeby zrobiła mi stopami. Dobrze, że miękko wypluło nas miasto, przez światła, niebieskie arterie, grawitacje kamienic, prosto na białe poduszki, pachnące makiem, wsią i rosołem.

## Żołnierze

Śniegu nie było, a sklepowi i barowi prognostycy zapowiadali go od wielu dni. Ciężki mrozek lubił usiąść tu i ówdzie, gorączki rozpałały okoliczne głowy, epidemie grały w swoje gry. Gdybym chodził jeszcze do szkoły, na pewno zrobiłbym sobie wagary, włożył pod pierzynę i upichcił kilka snów. I tak właśnie zrobiłem, ale były to bardziej wagary od życia.

Śpiałem podczas snów kilka szybkich myśli o suchym dziadku. Można by było grać w kółko i krzyżyk jego wątrobowymi plamami. Chciałem go wziąć na przejażdżkę, wyrwać z domu. Pokazać jeszcze kawał świata, a później stroić miny do jego luster, ustawić wszystkie zegary na dobrą godzinę.

Od rana ktoś szurał na schodach, nosił ciężkie sprzęty. Słyszałem ich żelazny, kapiący pot i stęki, więc z ciekawością uchyliłem lekko drzwi i obserwowałem. Dwóch dużych chłopów w mundurach, i to tych pustynnych, gramoliło się, co chwilę, z dziwactwami. Mieli sporo mebli, ale najczęściej kursowali ze sprzętem gimnastycznym. Chcieli mieć tego pewnie w cholerę i ciągle ćwiczyć.

– Co tam, wojaki? – krzyknąłem do nich, a oni odstawili kilka lampek i grzecznie przyszliznęli się przywitać.

– Mariusz jestem – ścisnął mi łapę pierwszy.

– Misio jestem – ścisnął też drugi.

– Cześć, czyli nie jesteście stąd? U nas wszyscy to Andrzej.

– Już zauważyłem. Cały czas Andrzej – potwierdził Misio.

– O co chodzi z misiem? – spytałem.

– A bo zawsze byłem największy, i to tak zostało – chciał mówić dalej, ale szybko przerwał mu Mariusz.

– Musisz zaraz do nas wpaść! Wniesiemy jeszcze trochę gówna i przyjdź na degustację towarów importowanych!

– Przyjdę, przyjdę – odpowiedziałem skwapliwie.

Bolała mnie ręka od ich ciężkich łap. Straszne to były dziwolągi. Dwa przerośnięte robaki, objedzone mączką kostną, ale mimo wszystko wy-

glądali na sympatycznych. Mogli przecież dać mi po mordzie, a potem jeszcze straszyć.

Poszedłem po chwili do ich mieszkania na drugim piętrze. Zajęli pustą, myśią klitkę, naprzeciwko Szlafroka i jej dzikiego męża. Wszedłem do nich bez pukania i od progu czułem dziwne smrody. Siedzieli w małym korytarzyku otuleni słodkim dymem. Skręcili wielkie baty i ich umięśnione mordy filtrowały zgniły dym.

– Zgadnij, kto wrócił z Afganistanu? – spytał retorycznie Mariusz, gdy mnie zobaczył, a ja przytaknąłem mu machnięciem głowy, ale to nie wystarczyło, bo sam nie wiedział, że zapytał retorycznie – zgadnij, kto wrócił?

– Wy wróciliście – odpowiedziałem grzecznie.

– Zgadnij, kto miał układy w Afganistanie i kręcił nielegal na plantacjach?

– Wy mieliście, dobre chłopaki.

– Zgadnij, komu nie sprawdzają bagaży na granicy? – spytał znowu, wypływając wielkiego bucha.

– Wam nie sprawdzają, dobrym wojakom.

– Zgadnij, kto pali teraz wielkie lolo z opium? – spytał, ale nie wytrzymał i zaczął się serdecznie śmiać razem z Misiem, a ja po chwili dołączyłem.

– Wy palicie, dobre chłopaki, Misio i Mariusz – śmialiśmy się cały czas.

– Tym razem nie zgadłeś, my palimy, dobre chłopaki Misio, Mariusz i Andrzej – i podał mi batona. Chciałem odmówić. Zabawy w opiaty z wariatami w mundurach to nic dobrego, ale spojrzeli na mnie z takim oczekiwaniem, że zaciągnąłem się szybko i szybko wypuściłem dym, trochę się krztusząc.

– Dobry chłopak – Misio trzepnął mnie w plecy, a ja od razu pożałowałem, że matka nie oddała go niedźwiedziom, bo tą łapą mogłyby zrobić worek treningowy z Drogi Mlecznej i Saturna i pewnie mniej bolałby ich kark, niż mnie po jego dobrotliwym ciosie. Dziwni byli. Za wielcy na to mieszkanie. Na kamienicę. Mogli siedzieć na pustyni i rozgniatać

skorpiony, bo tutejszy przeciągi, śluzę z sufitów, pikniki robactwa, szybko ich skurczą i dostosują do swojego poziomu.

– Jest tu jakieś ruchanie? – rzucił Mariusz.

– Ja już nie rucham – zaśmiałem się, ale spojrzeli na mnie dziwnie swoimi wielkimi oczami osadzonymi w opalonych czaszkach. Chciałem szybko przerwać niezręczne milczenie i wypaliłem:

– Po co wy jeszcze łązicie w tych mundurach?

– Człowieku, dopóki nie zarucham, to nie zdejmę munduru. To jest lep na cipki – powiedział Mariusz i zapadła znów grobowa cisza, którą po chwili przerwał Misio.

– Nie chcesz gramofonu? Bo u nas został po starych lokatorach, a nam nie jest potrzebny. Ja nie słyszę na jedno ucho, bo mózdzierz pierdolnął i tylko się wkurwiam, jak słyszę muzykę, a Mariusz to dla zasady nie słucha, bo mówi, że muzyka to jest dla pedałów.

– No, możecie dać – wyjąkałem, czując pierwsze słabości po buchu, ale szły raczej w relaks.

– Też jest jedna płyta, jak chcesz, to bierz, będziesz miał czego słuchać – Mariusz wstał i podał mi winyl z Murzynami na okładce – No i pamiętaj, my musimy opchnąć trochę dragów i robimy parapetówkę. Musisz być. Zgoda? – wyciągnął ku mnie łapę potwora, a ja podałem swój badył.

– Tylko nie sprzedajcie wszystkich, żeby coś było na imprezie – spróbowałem zażartować.

– Spokojnie, i masz tu jeszcze prezencik – Mariusz wsadził mi tabletkę do ust, nawet nie zaprotestowałem, nie vyplułem, tylko grzecznie połknąłem.

– Co to kurwa jest? – próbowałem pytać, ale się tylko śmiali, a Misio wołał, gdy schodziłem do siebie – „Ekstaza, ekstaza!”

Postawiłem przed swoimi drzwiami gramofon i obejrzałem płytkę. Dick Khoza – Chapita. Nie wiedziałem, co to było. Ile było jeszcze na świecie Dicków Khoz, milionów winyli, kto to wszystko zrobił? Kto zrobił Dicka Khozę? Kogo zrobił Dick Khoza? Za dużo było stwórcy nieba i ziemi.

Wszedłem do domu. Czuję się mięciutko. Wypieszczony i ululany

bobas przez wielką matkę ziemię. Eteryzną niankę z okolicznych farm. Widziałbym tylko jej nogi, ale byłaby taka dobra. Dbałaby o mnie i podawała w kąciaku ulicy miseczkę z mlekiem i pokarmem.

Z trudem podłączyłem gramofon i głośniki. Chuchnąłem kilka razy, żeby pozbyć się kurzu, ale zacząłem kasłać. W domu było tak sucho. Brakowało tylko pluszowych kaktusów, płatków suszi i saharyjskich wiatrów. Nałożyłem Dicka Khozę na gramofon i zapłodniłem go igłą.

Khoza pierdolnął. Pierwsze dźwięki wysłały mnie do Tajlandii, która była w Kolumbii. Gitarki. Trąbki, ale najlepsze miało nadejść. Założyłem województwo nigeryjskie w pokoju i powiat pelikanów. CHAPITA. CHAPITA. Tańczyłem jak zombie na środku ciemnego pokoju. CHAPITA. CHAPITA. Małe małpki nacierały mnie mechatymi ściereczkami. W domach nie było już brudnych kotów z roztoczymi, ale słodkie, różowe, jadalne, cukrowe kotki. CHAPITA. CHAPITA. Gdzie był teraz Dick Khoza? Czy było mu też tak dobrze? Chciałem go uściskać. Może nawet zgodziłbym się na seks udowy z nim. Ściany były z jadalnego, dobrego szkła. Smakowały jak paluszki. Nie było ostrych krawędzi. Agrafki, pierdolizdy, śrubokręty, kocie noże na pewno nie zrobiły nikomu krzywdy. CHAPITA. CHAPITA. Wpaść w liście. Koniczynki prosto z Alfa Centauri. CHAPITA. CHAPITA!

– Co ty tu tańczysz? – ktoś odezwał się za moimi plecami, ale się nie wystraszyłem. To był Misio, a za nim stał Mariusz.

– Tańczcie ze mną, to Dick Khoza! CHAPITA. CHAPITA!

Mariusz i Misio na początku się wstydzili, ale potem ich wielkie ciała, co chwilę, się o mnie obijały. Swawolili. Ruszali się najpiękniej w życiu.

– CHAPITA, kurwa!– darł się Mariusz

– CHAPITA!

– Ale z was wielkie, słodkie krety – śmiałem się z nich – kto jest na tyle pierdolnięty, żeby biegać w takich łąkach po pustyni? Zarabiać pieniądze ciałem, mięśniami. To wariactwo. Siła to nie koniec, słodkie krety!

– Sam jesteś, kretyn, nic nie ruchasz i siedzisz w domu – śmiali się wesołkowato i dalej tańczyli.



– Ale was polubiłem, dzięki za prezenty, nikt mi nic w sumie w życiu nie dał. Myślałem o was ciepło przed chwilą – złapałem Misia za rękę i robiliśmy razem ósemki w powietrzu.

– My też cię polubiliśmy, przed chwilą Misiowi mówiłem, że z ciebie pewnie profesorek, ale w porządku – rzucił Mariusz przy ostatnich aktach CHAPITY. Przytuliliśmy się w trójkę. Wtulałem się w ich umięśnione klatki piersiowe i zastygliśmy na długą chwilę.

– Skaczymy do wanny – wydarłem się nagle i pobiegłem do łazienki, a oni za mną.

Siedzieliśmy w trójkę w wannie, bo była olbrzymia. Mariusz cały czas się śmiał głupkowato i patrzył w sufit. Wydawało mi się, że widziałem kątem oka Bitelowa, ale chyba wystraszył się i uciekł. Misio zagadał:

– Ale nie nazywaj nas, kretynami, dobra? A tym bardziej, słodkimi kretynami, dobra?

– Dobra, chłopaki, przepraszam za grzeszki. Kocham wszystkie wasze trzysta mięśni. Dorodnych, bez robaczek. Na pewno wspaniałe dzierlatki je zbiorą i obsasają, wykochają. Wasze ciała prosto z Afganistanu. Spalone opium. Ogorzałe azjatyckim wiatrem. Słodką śliną Talibów. Ukochani polscy wojacy, w służbie krajowi, poświęcać swoje mózdzki, grzybki kurki, nie uciekliście do Argentyny jak pedały. Misiątka z najlepszych polskich drzew. Z mazurskich podwodnych jaskiń. Wasze jęczyczki w galaretkę. Wasza pielgrzymka ku prawdzie. Oddaję wam hołd – zacząłem oddawać im hołd, a z drugiego pokoju sączył się już odrobinę gorszy Khoza, już bez Chapity, ale wciąż bardzo smaczny.

Chłopaków już nie było. Pewnie się zdziwili i musieli sobie mocno wmawiać, że nie było w tym nic gejowskiego, że to tylko braterski, polski uścisk był. Chciałem, żeby tym razem wskoczyła do mnie wielka jaszczurka, mógłbym się z nią kochać. Myślałem o Irmie Pieronek. Na pewno była najlepsza. Jej życie to była niepodrabialna piosenka. Najlepsza ze szpul zawijająca się na gardłach złych ludzi, zawistników, a przynosząca glorię i chwałę ludziom dobrym. Kafle były tężowe. Zamieniały się miejscami. Miały swoje zawody, ale nie chciałem w nie wnikać. Irma Pieronek. Gdzie jesteś? Chciałem śnić o jaszczurce, o jej dziewczynie imieniem

I, może jeździłaby na niej, ja mógłbym ją poić i dawać jej słone insekty. Irma. Gdzie, kurwa, jesteś?

Słońce zachodziło szybciej. Mnie i wannę przywitał mrok i pierwsze światła miasta. Miałem wrażenie, że przez moje mieszkanie lecą gołębie. Słyszałem ich turkotanie, szarpanie pazurami o firanki i trzepot skrzydeł. Wpadło mi do głowy, co mogłem dopisać w kartotece historii dwóch sklepikarek ze spożywczaka. W krwi jednej z nich pływałyby koty, a ona by się chwaliła, że ma piękną, kocią naturę, chodzi swoimi ścieżkami, jest niezależna i jak trzeba, to drapnie. Wszystko było dobrze, dopóki tętnice nie zaczęły zapychać się kocią sierścią. Zapomniałem, co chciałem dopisać o drugiej. Zastanowiłem się, czy Jezus kochał jądro ziemi i jakby w Jerozolimie istnieli ludzie jądra, czy dałby się w nim spalić, aby odkupić nasze grzechy. Coś czułem, że wszyscy w mieście jedli jajka i się ze mnie śmiali. Taka masowa posiadówka. Arterie, gibloteki, szklane piramidy, Dżej Dżej Okocha. Gdzie był najbliższy poeta? Bałem się, że to Misio. Huragan ogrzewał mój dom, a ja zasnąłem cicho w wannie. Nocne drukarnie zaczynały chodzić, drukując ludzkie marzenia i sny, gdy doszło do mnie, drukarz krzyknął: „on nie zasłużył, przeskoczyć”, i tak była tylko zawistna ciemność, zawieszony, blady kozuch i zupa z węgla na za późne, przespane śniadanie.

## Śnieg

Obudziłem się i spostrzegłem pierwsze płatki śniegu. Musiało być już ślisko na kaflach ulicy, bo niektórzy chodzili śmiesznie jak pingwiny, a każdy upadek byłby upadkiem społecznym do czasu upadku tych, którzy wcześniej stali wyprostowani. Nie było sensu nazywania tego śniegu puchem, pyłem, pudrem, kawałkami nieba, był to po prostu śnieg, który śmiał się z tego, że zrobi niechcianą czapkę miastu i będzie przez kilka miesięcy głównym tematem rozmów.

Otworzyłem okno i nałapałem go trochę na ręce, ale szybko zniknął. Chciałem nabrać go do domu tyle, aby topniał wiele dni i zalał sąsiadów na dole, albo nasypać go do wanny, a potem pływać w swoim małym oceanie arktycznym.

Zadzwoiła matka. Dźwięk telefonu przegryzł się przez zimę, roztopił kilka śnieżnych węży i szlaczków. Przypomniała mi, że jest wigilia.

– Co tam u ciebie? – spytała cichym głosem, a ja byłem od początku bardzo jej niechętny – ojca nie ma, gdzieś zniknął dwa tygodnie temu, może wyruszył wreszcie na południe, jak mi zapowiadał już wiele lat... nie jesteś ci zimno, synku?

– Nie.

– Jak ci w ogóle jest? Nie tęsknisz za domem? – uświadomiłem sobie, że nie słyszałem jej głosu chyba z pół roku.

– Dobrze.

– Przyjdą do mnie wujek z ciotką, nie będę sama, a ty przyjdiesz na wigilię? – spytała z nadzieją.

– Nie.

– Przecież to wigilia, dalej masz uraz? Czemu nas nie odwiedzałeś? – spytała z wyrzutem.

– W wigilię będę sam. Żyję sam. I pozwól, że wszystkie rodzinne, sztuczne, kalendarzowe bzdury przeżyję sam – rzuciłem szybko, nie wiem, po co się denerwując.

– Smutno mi, mam syna kilometr od siebie, a on mnie nie odwiedza – zaczęła płakać, a ja szybko zakończyłem połączenie.

Trochę rozbiła mnie ta rozmowa, ale dalej starałem się cieszyć śniegiem wirującym wśród zimnych podmuchów, osiadającym w miejscach, do których nie dostałby się nawet kot. Czerwone światło kilka razy rozpałiło się nad zimowymi chmurami, ale to było wszystko. W mieszkaniu usłyszałem tylko koncert rur i wydawało mi się, że kilka małych szklanych kulek toczy się po ziemi i na jednej ze ścian ktoś puszcza niewielkie zajączki. Wpadło mi do głowy, aby odwiedzić suchego staruszka w jego krainie luster i zegarów. Pewnie też się cieszył z pierwszego śniegu.

Zapukałem cicho, a on otworzył mi po kilku minutach. Był na wózku inwalidzkim, co mnie zmartwiło.

– Co się panu stało? – wyjęczałem cicho, gdy już siedziałem na kanapie, a on powolutku jeździł na swoich nowych okrągłych nogach od kuchni do dużego pokoju, przynosząc ciastka i herbatę.

– Mogę chodzić, ale tak sobie ubarwiam życie – powiedział z młodzieńczą werwą, a ja odetchnąłem.

– Wigilia. Co pan planuje?

– Albo umrę, albo odwiedzi mnie moja opiekunka i córki... Widziałeś ten śnieg? Późno w tym roku – powiedział z pośpiechem, widząc sytuację za oknem.

Siedzieliśmy w ciemnym pokoju. Do środka wpadało kilka litrów mlecznego blasku. Zegarów było mniej. Okazało się, że żołnierze je powoli sprzedawali i dzielili się potem z dziadkiem fifty-fifty. Taką spółkę nawiązali.

– Powiedz, po co mi te zegary i lustra? Zbierałem je całe życie bezsensownie, a teraz tylko stoją i się kurzą – tłumaczył.

– Ja się przywiązałem tylko do swojej wanny. Mógłbym w niej umrzeć. Otworzyć okna, nasypać lodu i powoli umierać. Jak to jest z człowiekiem? Umiera samotnie jak zwierzę? – spytałem go.

– Chyba nie, choć ja pewnie umrę samotnie, bo opiekunka nie trafi w dobry czas, ale to będzie normalne. Nie będzie w tym filozofii samotności, po prostu odejście. Nie zagra muzyka, dzwony nie będą brzęczeć.

Nikt z lutnią nie będzie grał nad moim trupem. Żadnego boskiego czy naturalnego pocałunku. Trzeba być wariatem, aby myśleć, co będzie z moim pomarszczonym cielskiem po śmierci. Jakbyś siedział w kinie, jest dawno po napisach, sprzątacze cię wygania, a ty się drzesz „gdzie jest film po filmie”? Gdzie jest druga część? – dziadek zaśmiał się na koniec.

– Ja się raz boję, a raz w ogóle mnie to nie obchodzi, mam nadzieję, że trafię w czas obojętności – rzekłem cicho.

– Taki jeden gościu wydzwaniał do swojego kumpla, gdy już go nie było – suchemu dziadkowi zmieniła się nagle barwa głosu – i ciągle pytał jego matkę, gdzie on jest. Ona mówiła smutno, że przecież nie żyje, ale tamten wydzwaniał cały czas, bo nie mógł w to uwierzyć. Dla mnie to jest najlepsza opowiadka o życiu i umieraniu.

– Czyli co? Żyj chwilą i takie tam pierdoły?

– Ty już raz mnie podpuszczałeś, żebym tworzył jakieś wiążące deklaracje, a każda jedna byłaby wyświechtana i do podcierania tyłka przed wypowiedzeniem. Można by było tak strwonić życie na zastanawianiu się, co właściwie jest w nim najcenniejszego, nie uważasz?

– Pewnie tak, ale potrzebujemy tych kilku słów, aby się utożsamzić i żeby było łatwiej.

Dziadzio pomyślał chwilę, poskubał kilka włosków na brodzie, bo golił się bardzo niedokładnie i odrzekł:

– Jak tak lubisz tę wannę, to siedź w niej całe życie. Nikt ci nie zabroni. Nie uszczęśliwiaj siebie i innych na siłę, jak tego nie chcesz. Jest sporo takich wariatów, wejdzie taki jeden na górę i już śle przesłanie, że góry są jak życie i że tylko na szczycie można być szczęśliwym. Pojedzie drugi do Afryki i już jest pewien, że lekarstwem na szczęście wszystkich jest pomaganie małym bambo. A, chuj! Mogliby się uspokoić. Wpychają mi recepty. Myślą, że u mnie to zadziała. Inny byłby w siódmym niebie, jakby rozpiął Mont Everest w drobny maczek, a następny na safari, na którym strzelałoby się do już wyleczonych małych bambo. Nie ma gorszych i lepszych marzeń, ale oczywiście za niektóre możesz później odpowiedzieć.

Pomyślałem chwilę o tym, co powiedział i spytałem go o coś, bo zawsze chciałem zadać komuś to pytanie: – Jaki typ ludzi by pan za-

bijał, gdyby był pan seryjnym mordulem?– Piękne kobiety. Wiadomo – odpowiedział bez zastanowienia – mordowanie to seksualna sprawa. Od pięknej wyciągnęłoby się tak wiele, pokrzyżowało plany natury. Tego ze „Zbrodni i kary” to w ogóle nie rozumiałem. Zabił brzydkie, stare, śmierdzące babsko, planował to tak długo, potem cierpiał, pokutował, a przecież nic nie miał z tego. Żadnego seksu, podniety! Szczury chciał tępić jak jakiś brudny facet, a na pewno miał tyle piękności w futrach i kufajkach panoszących się na ulicach Petersburga.

Gadaliśmy sobie dalej, ale dziadziowi bardzo szybko zmieniały się nastroje. Raz się śmiał, aby zaraz krzyknąć, a na koniec rozpłakał się na dobre.

– Będziesz dzwonić do mnie, jak umrę? – łkał.

– Będę, będę.

– Dzwon do moich córek też, ciągle pytaj o mnie. Mów, że nie możesz uwierzyć, że mnie nie ma.

– Będę, tylko mogą pomyśleć, że sobie robię gorzkie jaja.

– Dzwon, dzwon – płakał jak niebo zimnymi łzami, a ja powolutku wycofałem się do korytarza, widząc jak szloch zamienia się w sen na oszukany inwalidzkim wózku.

Chciałem iść na dwór i ulepić bałwana. Samemu nie miałyby to smaku, więc zaszedłem po Bitelowa. Wyszedł w nowym komplecie zimowym. Miał nawet rękawiczki na sznurku, co szybko mu ze śmiechem wypomniałem, ale obraził się przez to na kilka minut.

– Gdzie jest twój stary? – zapytałem go, gdy się odetkał, a my już szliśmy w górę po białych serpentynach miasta.

– Pił jak szalony, a potem zniknął. Nie ma go już kilka tygodni.

– Mój stary też zniknął.

– Może jadą na południe przezimować?

– Może do paki idą, żeby było ciepło i spokojnie.

– Mój stary kiedyś był na osiem miesięcy, więc kto go wie. Nasi starzy się znają?

– Wszyscy pijacy w małym mieście się znają. Inaczej nie mogliby chlać codziennie. To jest doskonały system i kalendarz. Nie wiem, czy nie najlepszy i nie najtrwalszy w tym chorym kraju.

I już staliśmy na górze nad miastem. Czerwone światło igrało nad lasem, ale starałem się nie przejmować. Miasto w dole wyglądało jak gród myszy. Misterne korytarze. Nie wiedziałem, w kim była taka chęć do życia, żeby to wszystko zbudować. A śniegu coraz więcej i więcej. Z małych kulek szybko ukulaliśmy duże kule, powoli umieszczając jedną na drugiej.

– Szkoda, że nie mamy dodatków – powiedziałem do Bitelowa.

– Nie róbmy na siłę z niego człowieka. Niech zostanie taką trójkulą.

– Racja, Bit.

Siedzieliśmy pod bałwanem i patrzyliście na miasto. Staraliśmy się wypatrzeć naszą kamienicę, ale coś ją zasłaniało. Dymy panujące tu już od jesieni wisiały jak niezniszczalna kłątwa. Tyle rąk podkładało do pieców, później fajkami kominów wypływały zatrute obłoczki, aby stworzyć wspólne zawiesziste przedstawienie. Może robili to, aby stworzyć namiot, pokrywę nad miastem, aby bóg nie wypatrzył ich małych grzeszków.

– Poszlibyśmy teraz do mojej matki na rosół, ale cóż, nie da rady. Może w następną zimę? Jak wszystko okrzepnie – powiedziałem.

– Zróbmy sobie sami – zaproponował Bitelow.

– To nie będzie takie łatwe, a co tak w ogóle się stało z twoją matką, Biti?

– Nie mam pojęcia, mam tylko jedno wspomnienia z nią. Jest słońce, a ona pcha mnie na wózek i się uśmiecha. Była chyba blondynką.

– Eh, zrobimy sobie razem wigilię? – zapaliłem się.

– W sensie się najebać?

– Dokładnie to, ale może jeszcze rosół, trochę kiełbasy, no i ta, co w szlafroku ciągle chodzi, obiecała mi uszka, to wrzucimy je do rosółu i będzie zabawnie.

– Super, Win, to będzie moja pierwsza wigilia bez ojca. Początek był zawsze udany, ale potem przesadzał z wódką, szedł na miasto, a ja zostałem sam pod choinką.

– Dzisiaj będzie, kurwa, lepiej, Biti, obiecuję ci.

Wrzuciliśmy kurczaka do wody. Marchewki, pory, selery, ziemniaki. Wszystkie warzywa, które znaleźliśmy w warzywniaku. Wirowały i bulgotały w garze. Chciały nam dać wszystko co najlepsze. W międzyczasie

wysłałem sms'a do Klimiego, że zrobiliśmy bałwana, na pewno się ucieszył w tym swoim dużym mieście. Wygłosiłem też szybkie kazanie przez mikrofon, było około 30 słuchaczy. Mówiłem o nieustającej potrzebie podtrzymywania tradycji i że naszą tradycją musi być też poszukiwanie złego nasienia, które chciałoby ją nam zniszczyć. Wyraziłem wątpliwość, czy aby nie było takich ludzi, którzy spędzają źle swą wigilię, nie po bożemu, nie tak jak wszyscy, zapominając o jej zapładniającej, świętej mocy. Skończyłem, odśpiewując z Bitim kolędę i zabraliśmy się do swojej wieszery. Poza rosołem mieliśmy też uszka i wódkę, bo Szlafrok dała nam uszek, a żołnierze podarowali nam dwie butle wódki na święta. Sami jechali na drugi kraniec kraju do swoich matek.

Ściemniło się, piliśmy rosół z talerzy, bo nie miałem łyżeczek. Stukaliśmy się z Bitelowem co chwilę kieliszkami wódki i z niesmakiem ją popijaliśmy.

– Wszystkie najlepszego, chłopie – klepnałem Bitiego.

– Też się trzymaj – wybełkotał już dość pijany.

– Wszędzie tu gdzieś mają wigilię. Jakby rentgenem przejechać po całym mieście, to siedzą przy stołach i żrą.

– Nasza i tak jest najlepsza! – krzyknął Bit.

– O czym myślisz, o czym się powinno myśleć w wigilię? – klepnałem go znowu.

– Ja na przykład myślę o tym, żeby moczyć ręce w mięcie, a potem na nie pierdzieć – odpowiedział jakby do ściany.

– Co, kurwa?

– Wiesz, nie wiadomo by było wtedy, czy pachną, czy śmierdzą.

– Biti, z takimi myślami, to ty daleko nie zajdziesz – powiedziałem z rozbawieniem, a on zamknął się w sobie swoim zwyczajem. Zdenerwoowało mnie to, była wigilia, więc postanowiłem mu to wszystko powiedzieć.

– Przestań się tak obrażać, Bit, nigdy nie miałem złych myśli na twój temat. Jesteś dobrym chłopem. Nie musisz się boczyć. Nie ma w tym żadnego podwójnego dna, nie chcę ci dokuczyć albo cię wyśmiać. Próbujemy coś razem sobie tutaj zrobić na tym świecie, nie myśl tak intensywnie,



to są tylko myśli, a połowa to nieprawda. To tak jak z dragami, życie jest takie samo, staramy się gównem, które buzuje w nas, tłumaczyć jakąś zewnętrznością. To jest tylko w nas. Nic się nie martw. Nie otwieraj następnej kolonii żalu w sobie, dobra? – znowu klepnałem go kilka razy w plecy.

– Mi się wydawało, że się ze mnie podśmiewujesz, tak jak dzisiaj z tymi rękawiczkami, a ja je znalazłem w szafie, nie mam kasy na inne.

– One były cholernie śmieszne, ale same w sobie, nie chodziło o to, że ty je masz. Kto zrobił takie dziwactwo, czemu jesteśmy zmuszeni, żeby w nich chodzić? Patrz, jakie mam śmieszne mieszkanie – wzniosłem ręce ku ścianom i sufitowi – na dodatek czasem nie mam łazienki i się nie mogę nawet wysrać. W ogóle sramy jakimiś brązowymi bułeczkami, mamy kawałki kości w mordzie. Ludzie je wybielają, wybijają sobie. To jest śmieszne – klepałem go w plecy, rechocząc, a on też powoli łapał dobry nastrój – i jeszcze opowiadasz o pierdzeniu sobie na ręce, moczeniu ich w mięcie. Co to za połączenie? Co za wykorzystywanie swojego życia i ciała, człowieku – zaczęliśmy się wreszcie razem śmiać.

– Mnie dziwi, że ludzie robią imprezy, gdy ktoś umrze – włączył się za moment Biti – dbają o zwierzęta, można iść siedzieć za zabicie zwierzęcia. Co to ma znaczyć?

– Może nasi starzy zabili po dwa psy, aby przezimować w pierdлу? Biti, tylko mi się wydaje, że najpierw jesteśmy święci, potem dopiero śmieszni. Zgadzać się na tyle rzeczy, odwalać te wszystkie programy, nosić piasek, węgiel, budować domy, to jest duży powód do szacunku. Taka krew i kości, zdzieranie z codzienności skóry. Można by było od razu przerwać linię albo położyć się na brzuchu.

– Czasem ci wszyscy ludzie wydają mi się tacy mali i nieważni – Bitelow gadał z zamkniętymi oczami – a potem widzę w nich herosów targających worek ziemniaków na plecach, popychających wózki z rozwrzeszczanymi dziećmi. Najgorsze jest jednak to, że ja jestem dla nich często mały i nieważny, i pewnie mają rację. Tak sobie wysyłamy ciągłą pogardę, czasem szacunek, a i tak nie wiemy właściwie nic.

Siedzieliśmy dalej w dużym pokoju, patrząc na nocne niebo i płatki śniegu, które nie chciały przestać padać z nieba. Spadło chyba już milion

płatków. Biti powoli zasypiał. Wrzuciłem go z trudem na kanapkę, mimo że był chudy, a później sam położyłem się obok. Na niebie wirowały białe sznury, pomyślałem chwilę o Irmie Pieronek. Pewnie lubiła śnieg, skrzypiące dźwięki lodu, lizanie sopli, kładzenie się na miękkiej, białej tkance. Wiedziałem, że gdzieś tam była, pisząc wciąż piękne historie i zachwycając się niewielkimi sprawami.

## Impreza kamieniczników

Po pierwszych fikołkach i bałwanach, stał się on po kilku tygodniach dręczycielem, leżał nic nie robiąc i żądał jeszcze ukłonów od wywracających się ludzi, był pasem startowym chłodu, zimna, podmuchów mrozu, które pukały do okien i chciały tulić się do ciepła, aby później przyjmować je do swojej drużyny. Chodziliśmy z Bitelowem w potrójnych skarpetkach, ale czasem nawet one nie wystarczały, więc musieliśmy skakać i ciągle ruszać palcami u stóp, które wiły się jak robaki w koszu bawełny.

Żołnierze dotrzykali słowa. Już od wczesnego rana chodzili z wódką w ręce, oblewając ściany, chrzcząc schody, wydzierając mordy. Pukali w moje drzwi, a później zaczęli w nie kopać, więc otworzyłem im, a ich uśmiechy przyklejały się do ścian i łaskotały przestrzeń.

– Zgadnij, co dzisiaj jest?! – Mariusz złapał mnie za ramiona.

– Wasza impreza, sprzedaliście dragi.

– Nie tylko, niezły biznesik zakręciliśmy też na tych zegarach dziadka.

– To kiedy się zaczyna? Jest dopiero 13.

– My już chyba zaczęliśmy, co nie? – Misio porozumiewawczo walnął łokciem Mariusza, a ten zaczął chichotać.

Długo musiałem ich namawiać, żeby zaczęli o dwudziestej, że potrzebna im mała drzemka. Chwilę poburczeli, ale dali się w końcu przekabacić i radośnie poszli na górę do siebie.

Przewertowałem do końca zeszyt Armii Pieronek i okazało się, że znalazłem tylko jeszcze jedną jej historię. Jej bohaterka, dziewczyna I., szła z rozpuszczonymi włosami na górę nad miastem, ale właśnie na szeroką ulicę wpłynął szary wieloryb i połknął ją do szczętu.

Dochodziła dwudziesta. Misio i Mariusz udawali na górze słońce i trąbili na całą naszą rezydencję z kamienia. Postanowiłem trochę poczekać, bo nie chciałem siedzieć z nimi samemu, więc posiedziałem w mroku, obserwując białą pustynię za oknem i metry szalików, które obwijały ludzi. Chciałem, aby miasto miało płozy i jeździlibyśmy nim po całym świecie.

Szumy na górze były coraz głośniejsze, do tumultu gardeł żołnierzy dołączyli inni, tworząc wersję demo dzungli. Wszedłem cicho po schodach, nasłuchiwałem chwilę pod drzwiami i wpakowałem się do środka. Wszyscy kamienicznicy w półmroku poruszali się po niewielkich pomieszczeniach. Czasem na ziemię spadała butelka, ktoś brzdąknął słowem, jakaś kobieta rzucała kośćmi obcasów po kafłach kuchni, wszystko to wiedło jednak, gdy Misio albo Mariusz wydzierali swoje wciąż opalone twarze, krzywiąc je i szukając świętości w ogłuszającej wrzawie.

Przemykałem cicho wraz z półcieniami, chciałem być niezauważony, przyglądać się dziwnym twarzom, dziurkom w nosie, rękom gładzącym podgardla. Moją pozycję odkrywały tylko dzieci, dwójka chłopców porządnego małżeństwa i córka Szlafroka, które przemykały udając, grupę szalonych motocyklistów.

Ktoś położył mi dłonie na oczach i szepnął „zgadnij kto to?”. Wiedziałem, że to Szlafrok, ale wymieniłem najpierw Marylin Monroe i kilka innych hollywoodzkich gwiazd, aby ją ucieszyć.

– Co tam u ciebie, kochany? – szepnęła mi do ucha – dlaczego mnie unikasz od tyłu miesiący?

– Pracowałem.

– Nie szukaj wymówek, wiem, że przestałam ci się podobać – czknęła już mocno pijana. Dobrze, że uratował mnie od niej Misio, który wypatrzył mnie przez mgły nocy i unoszący się dym, podniósł do góry i podrzucił.

– Mam cię, profesorku – zaśmiał się, a ja szybko spłynałem po szarej ścianie do innego pomieszczenia.

– I ile mógłbym za to kupić? – pytał Bitelow naszego sąsiada, sprzedawcę ubezpieczeń.– Po roku roboty to auto, potem może mieszkanie, na pewno kobieta by się też znalazła – sąsiad mówił z miną eksperta wciąż w tej samej koszuli.

– Posprzedajemy trochę ubezpieczeń tej nocy? – wtrąciłem się w ich rozmowę, wrywając im szklanki i wypijając ich drinki.

– Win, byś się wstydził... a wiesz, że może będę zarabiał duże pieniądze? Nasz sąsiad mnie polubił i proponuje mi dobrze płatną posadę – powiedział z dumą Bitelow.

– Tak, przestaniesz wagarować, kupisz sobie kapelusz, neseser i będziesz biznesmenem, Biti!

– Proszę, nie zniechęcać chłopaka, to jest doskonały materiał na sprzedawcę ubezpieczeń. Ma dobrą postawę, lekki krok i przenikliwie oczy.

– Nawet po pijaku chcesz gadać o ubezpieczeniach?

– Nie widzę w tym nic nieodpowiedniego.

– Co chciałbyś robić tak naprawdę?

– Lubię sprzedawać ubezpieczenia, czasem łowią ryby. Wszystko musi mieć swoje miejsce, poza tym mam rodzinę na utrzymaniu – zaczął się niepotrzebnie tłumaczyć.

– Taki zakład Pascala wciskasz ludziom.

– Powiedzmy – odpowiedział zniecierpliwiony, a ja ruszyłem dalej w mrok.

Obijałem się o ściany i zaglądałem w różne kąty. Wydawało mi się, że to mieszkanie ma w ścianach wielki jęzor, który czasem je sprząta. Mrok chichotał, pod sufitem latały nietoperze i ptaki, tylko kilka lampek walczyło z ciemnością, ale były przykryte grubymi kocami. Zaglądałem w różne zakamarki żołnierskiego gniazdka, znajdując długie rurki, okulary, mierniki, lewatywy, gwoździe, kilka sztuk starej broni. Trzymałem się ścian i czułem, że ktoś prowadzi mnie palcem jak kawałek żelaza po magnezowym torze.

– Hej, siadaj! – wrzasnął Mariusz i ściągnął mnie do siebie pod ścianę, przy której obalał wódkę, trzymając po jednej sztuce w każdej ręce.

– Pij to! – podał mi jedną butelkę, a ja gorzko przełknąłem kilka łyków.

– Korki pierdolnęły, ale nie chcę mi się schodzić na dół, niech tak będzie.

– A te kilka lampek pod kocami?

– Tu nie ma żadnych lampek – zdziwił się, a ja razem z nim.

– Opium się rozeszło? – spytałem.

– Jak świeże bułki, ale mamy jeszcze trochę, niektórzy nas całowali po rękach, że mogli pierwszy raz spróbować.

– Znacie już wszystkich z kamienicy?

– Wiadomo, od razu się poznaliśmy, dzieciaki raz nawet zabraliśmy na lody i pozwoliliśmy się im pobawić żołnierskim sprzętem. Lubią nas wszyscy – powiedziała jego duża głowa, a tuż obok przemknęła Szlafrok, bo wyczułem jej dziwne, słodko-kwaśne perfumy. Mariusz dwuznacznie się uśmiechnął, gdy zniknęła w korytarzu.

– No, nie mów mi, człowieku – wałnąłem go w ramię.

– Nieźle ją obracaliśmy – zarechotał.

– Też miałem przyjemność, ale cipa za szeroka.

– No, dokładnie to! – oddał w moje ramię – człowieku, to była pochwa ludojad, myślę, że mógłbym do niej wejść i przezimować, jakbym nie miał domu.

– We dwóch ją braliście?

– We dwóch z Misiem się udawało ją wypełnić, ale wiesz tak trochę dziwnie się kutasami szurać, to robiliśmy jeden z przodu, drugi z tyłu.

– Kojarzysz jej męża? Ja go nigdy nie widziałem.

– Takie czarne dziwadło. Zęby ma wszystkie zepsute. W ciemności na klatce to można dostać pierdolca z nim sam na sam.

– A przyszedł tutaj?

– Widziałem go gdzieś, wahał tu i tam. Nie wiem, gdzie się podział w tej ciemności.

Zostawiłem Mariusza przyklejonego do ściany, gdy wpadł w cichy półsen. Deski pode mną skrzypiały, Szlafrok zaśmiewała się w mroku, a duży księżyc wisiał daleko za kamienicami. Zobaczyłem dwie postaci siedzące na łóżku i szybko do nich doskoczyłem.

– Ja się czuję jak grzechotnik, gdy mi źle, albo mi smutno, coś tam we mnie grzechota – opowiadał pijany Bit przyjacielowi ubezpieczalskiemu i widać, że skierował rozmowę w swoje rejony życia.

– We mnie też coś takiego siedzi, szczególnie po przebudzeniu. Taki kamień, niechęć, mam ochotę w ogóle nie wychodzić i się nie ubierać – odpowiedział mu równie pijany Pascal.

– Mogę mówić na ciebie Pascal? – ryknąłem mu do ucha.

– W porządku – rzucił, zrobił mi troszkę miejsca i spytał:

- A co ciebie trapi, Wintro?
- Widzę czasem różne rzeczy, ale to chyba nie problem – wypaliłem i zagrałem Bitelowowi na kolanach jak na perkusji.
- I jaki ty... w tym widzisz sens?
- Czasem się pojawia przy ostatnim zdaniu – powiedziałem w próżnię, zamyślił się i nikt się nie odezwał przez dłuższą chwilę. Mizio chyba się z kimś zabawiał w akwarium korytarza, bo słychać było obłapiające się ciała i mlaski języków. Miałem nadzieję, że to Szlafrok, a nie żona Pascala, bo skończyłoby się to wszystko niezłą bijatyką.
- Znasz tę historyjkę o biznesmenie, który przyjeżdża na wyspę i gada z rybakiem? – spytałem Pascala.
- Nie znam – zaszumiał i wtulił mi się w ramię. Opowiedziałem mu przypowieść, a on patrzył tylko srebrnymi gałkami w okno. Chyba był już nasz, przynajmniej do rana.
- I jaki to ma wszystko sens? – spytał z oburzeniem – zapierdalać, a tak naprawdę to jest nic (chuj) niewarte?
- Dokładnie tak – przytuliliśmy go z Bitelowem, ale on nie mógł przestać się trząść. Leżeliśmy pokotem na łóżku. Gdy walnęło się w stary materac ręką, wzbijał się kurz i płakały pod nami sprężyny. Coś weszło do pokoju, spojrzało na nas i zapytało o papierosy. To był mąż Szlafroka. Rzeczywiście, facet był chory i oddawał dobrze nastrój ciemnego mieszkania.
- Co porabiacie? Porabiacie? – bełkotał zza zepsutych zębów.
- Napraw se zęby – Pascal był w otwartym nastroju.
- Uważaj se – dzik zaczął wymachiwać łapami, ale odpychaliśmy go skutecznie na środek pokoju.
- Ja grzeczny, a wy z ryjem, tacy jesteście sąsiedzi? – szczyrzył się karbonem z paszczy.
- Boimy się ciebie – Pascal nacierał.
- To jest choroba.
- Chyba dzuma, diable – sprzedawca wstał z kanapy i zaczął się szarpać z dzikusiem. Nie wiedziałem, co on wyprawia, chyba alkohol tak działa na sprzedawców ubezpieczeń i powierza mu w nocy wszystkie lokaty wariactwa i samotności.

Podbiegliśmy do nich i szybko ich rozdzieliliśmy, a wszystko zakończył Mariusz, który wstał spod ściany i rozdał sprawiedliwie po gongu.

– Świat to bat! – zaczął śpiewać za chwilę, złapali się z Misiem za ramiona i wymachiwali żołnierskimi butami, które śmigwały nam koło nosów. Dzikus i Pascal wyglądali na pogodzonych. Rozcierali guzy na twarzach i wymienili się uwagami o bólu i prawdopodobnym czasie gojenia ran.

Czułem słodką woń trawionego alkoholu. Wszyscy powoli coraz bardziej się do siebie zbliżali i chcieli nawzajem uwielbiać. Te pokoje były jak zgniłe zęby do wyrwania w trybie natychmiastowym. Wielkie szczypce mogłyby pojawić się nad miastem, wziąć je w obroty i wyrzucić daleko na wysypisko. Ściany pewnie nie były dumne z mieszkańców, patrzyły srogo, chciały, żeby wreszcie wyginęła ludzkość, mogłyby wtedy same spokojnie czekać na popiół i pył, obrastane mchem, paprociami, zapamiętaniem i zapomnieniem natury. Zgodziłyby się na pewno na układ, żeby ludzie mogli rodzić dziecko, zabijając wcześniej inne, cholerstwo by się tak nie rozmnożyło, nie zaczęło betonować, nie nienawdziłoby, nie goliło nóg w miskach, nie wycinało polipów z przepastnych gardeł.

– A gdzie jest dziadek?! – wydarłem się, przekrzykując tulące się do siebie ciała, wprowadzając ich w konsternację.

– Gdzie dziadzia?! – podchwycił Misio.

– Musimy po niego iść, bo pewnie mu smutno! – zaaprobował Mariusz i szybko zebraliśmy drużynę.

– On na pewno chce na śnieg – pierdnął ustami cholerny pijany Bit, gdy zaczęliśmy dobijać się do suchego dziadzi.

– Biegnij po łom, podważymy – Mariusz wydał rozkaz Misiowi, a ten za moment był już z powrotem.

– On chce wolności – Pascal kopał w klamkę, ale Mariusz go przesuwał i zmiażdżył łomem zębaty zamek.

Wpadliśmy jak banda małp do jego eleganckiego mieszkania. Odezwąło się kilka wystraszonych zegarów, z jednego wyskoczyła pohukująca kukułka. Nasze nieskoordynowane ruchy odbijały z ironią szalone lustra.

Znaleźliśmy dziadzię w kącie. Sapał niczym suseł na swoim szachraj-



skim wózku, ale Misio szybko go obudził, klaskając w dłonie.

– Co jest? Złodzieje? – chciał się bronić swoimi suchymi gałązkami, ale nie miał szans, bo Mariusz już ubierał mu znalezionej czapkę, a Bite-low okrywał go kocem.

– Masz rację, dziadku, porywamy cię – zawył jak wilk Pascal, a my powtórzyliśmy, zagłuszając zmartwioną kukułkę.

Misio na plecach zniósł go na ulicę razem z wózkiem. My, przewracając się na schodach, wypadliśmy za nim.

– Ja nie chcę nigdzie jechać, wy łobuzy, chuj!

– Jedziemy na śnieg – uśmiechnąłem się do niego.

– Ja nie chcę – zawył, ale już pędziliśmy mroźnym szlakiem. Bite-low z Misiem pchali go z niesamowitą szybkością, a my biegliśmy obok, czasem jeżdżąc na butach i wywracając się pijacko na lodzie.

Zimny wicher wchodził nam prosto do płuc. Dziadkowi zamarzały kapiące łzy, a na źle dogolonym wąsie osadzał się chłodek. Pascal rozbił rękami sople, Mariusz bombardował mijane okna śnieżnymi kulkami. Arktyczna mąka przyczepiała się do butów, szpiczaste mleczne ulice uśmiechały się do nas tysiącem oczek, zapraszały do ślizgów i rajdu. Rzeka płynęła tylko małym ciurkiem, ślina chciała zamarznąć w ustach, a my dalej biegliśmy po przesmykach i zaułkach miasta.

Tętno przykrył lód, nikt nie miał już siły, koła wózka ślizgały się na taflach zmarzliny i chciały wykonać piruet, zburzyć kilka igloo i rozpętać śnieżną burzę. Gdy wszyscy przystanęli z braku sił, wypluwając ostatnie ciepłe oddechy, ktoś zaproponował, aby usiąść.

– Nie wybaczę wam – sapnął suchy dziadek zza bawełnianej czapki, gdy siedzieliśmy na środku białego placu, patrząc na siebie i śmiejąc się w duchu.

– Niech pan przestanie, przecież jest dobrze – pocieszyłem go.

– Zimno mi, nie jestem młodym szczupakiem jak wy – zakasłał, a Misio z Mariuszem szybko okryli go swoimi kurtkami.

Pascal śmiał się w niebo, bawiąc się dużym soplem. Mariusz posypał opium i chciał je palić w nocy, tęgą zimą, na środku placu.

– Myślałem, że to sen – zaśmiał się wreszcie dziadzia.

– Wie pan, trzeba się było wyrwać – Bitelow przejechał palcami po szprychach jego wózka.

– To palimy – zaciągnął się Mariusz i posłał babola do Misia.

– Jak ja sobie przypomnę Afganistan, to tutaj można ocipieć z tą zimą – olbrzym puścił potężnego bucha w chłód, podając Bitowi dynamit, a on zaciągnął się jak wariat, zając później kupkę śniegu.

– Co wy tu palicie? – spytał Pascal, parząc sobie dłonie i cmokając lekko końcówkę, gdy dostał od Bity swoją kolej.

– Pustynię, kurwa – odpowiedział Mariusz, a my przyglądaliśmy się już, jak zaciąga się dziadek i puszcza wesołe dymki zakłócając plany zimowych, obrażonych podmuchów.

– Co się patrzycie? – dziadzia się oburzył – całe życie byłem porządnym facetem, na starość mi się coś należy.

– Ja nie chcę – oddałem Mariuszowi, gdy do mnie doszło i zapatrzyłem się w skrzący śnieg – ja już chyba też poczekam na starość, teraz mam jeszcze trochę do zrobienia, a na emeryturze znowu przypierdolę.

– Starość to chuj – huknął Misio i spojrzał później ze wstydem na dziadzia, ale ten zapadał w sen i tylko lekko się uśmiechnął na tę uwagę.

Ostre powiewy z północy zaprosiły nas do tańca, chciały, abyśmy zostali dłużej, aby mieć mięso, model ciała, kamień na rzeźbę, aby nas odnaleźli, wtulonych w siebie i zastygłych, pierwsi poranni eksploratorzy. Szpilki chłodu kłuły nas i gryzły w twarze, ale siedzieliśmy dalej. Sześciu nie najgorszych gości.

Pascal, sprzedawca ubezpieczeń, chwilowy antymaterialista, kochający męża i ojciec, Misio i Mariusz, byli żołnierze, słodcy palacze opium i apostołowie siły stojącej po dobrej stronie, Dziadzia, śniący mistrz, którego chciał zabrać już czas, Bitelow, początkujący filozof i szaleniec, zaciekle wagarowicz, niezastąpiony pomocnik i dobry chłopak, i ja, Andrzej Wintro, samozwańczy pastor i pisarz, który podążał ze strachem za czerwonym światłem.

## Ptaki Andrzeja Goja

Moim jedynym wrogiem był Andrzej Goj, facet nieprzeciętny, muszę mu to przyznać, ale przy okazji zły człowiek. I te jego ptaki. Kiedyś znalazłem jego kartę dziecka i późniejsze kartoteki od lekarza. Wyrzucił je nieopatrznie do kosza, a ja nie byłbym sobą, gdybym ich nie wziął. Czasem wydawało mi się, że dlatego mnie nie lubi, bo wiem tyle o jego ciele. Miał 56 centymetrów wzrostu i 3,3 kg wagi, gdy się urodził. Potem rozwijał się w miarę sprawnie, kilka planów jego cielska pokrzyżowała świnka i ospa, które przeżył, mając sześć lat. Jako dorosły facet miał 176 wzrostu, a jego waga wahała się od 70 do 80 kilogramów. Dziwnie wyglądał. Przypominał mi Murzynka z wydętym brzuszkiem, poza tym miał słoniaste uszy i duże oczy. Stopy i ręce też za duże jak na jego gabaryty. Na tej swojej ręce mieścił ze trzy gołębie. Bo zawsze sypał im ziarno na łapska, a one mu je wyjadały. Widać, że go to pobolewało, bo go dziabali niechcący, ale zgrywał twardziela i uwielbiał w takich chwilach patrzeć w moje okna. Jak już nakarmił tę swoją armię, to widziałem, jak ją namawia, aby mnie dręczyła. Pokazywał na moje okna, na parapet, firanki, coś im szeptał, tajne komendy w językach ptaków, a później nie mogłem się od nich opędzić. O otwieraniu okna to szybko zapomniałem, bo zawsze wykorzystywały ten dogodny moment, aby się wślizgnąć, a później robiły straszne rzeczy. Nie mówię już, że srały, bo to mogłem przeboleć, ale grzebały mi w papierach, kilka nawet wykradły, dostały się raz nawet do skrzynek historii kilku osób i wyciągnęły co ciekawsze kaski. Byłem przekonany, że to Goj je namówił, chciał się zemścić za kradzież jego lekarskich kartotek. Ja miałem trochę jego świata, a on chciał mieć trochę mojego. Taka brudna wymiana, ale co gorsze, latacze Goja nie tylko kradły mi historie z domu, ale także przynosiły swoje, a tego znieść nie mogłem. Zaczęło się już kilka dni po wprowadzeniu, dostarczały krótkie informacje przyczepione do nóżki i tak długo gulgały na parapecie, dopóki nie zdjąłem im z nogi przesłania od Goja, a on, gdy to wreszcie

zrobiłem, podśmiewywał się za firanką. Obiecałem sobie, że żadnego nie przeczytam, dlatego karteczki leżały smętnie na szafce, ale często kusiło mnie, aby sprawdzić, co ten kulfon ma do powiedzenia i kilka razy, na nieszczęście, to zrobiłem. Motto z jednej z pierwszych kartek brzmiało: „Spotkajmy się o dwunastej na skraju drogi. Weź ze sobą to, co uważasz za stosowne. Jak śpi ci się zbyt spokojnie, pamiętaj, że nawet pyłek ma dwie strony, a jedna z nich jest czarna”. Starłem się nie przejmować jego groźbami, ale pamiętam, że porządnie mnie to wszystko rozbiło. Słabo prowadziłem wtedy swoje audycje. Nie mogłem spotykać się z paniami. Siedziałem w domu i czułem się jak galaretki. Częściej też zmieniały się kolory ścian. Kilka razy w nocy sufity były szklane. Na kilka dni zniknęła łazienka i musiałem załatwiać potrzeby w pobliskim urzędzie.

Następne groźby Goja brzmiały mniej więcej tak: „Ziemia obiecana. Czy to jest Ziemia obiecana? Cały majątek traci się w jedną noc. Płynię w nas tylko kilka chwil, słów i siedem litrów krwi. Może to jest czas, aby nóż wyszedł na miasto i zaczął ruchać? Nóż – ruchadło.” „Pamiętasz, jak jego żebra ścisnęły drzwi? Duchów już nic nie boli. Kilka razy odleciałem. W naszych rzekach może coś mieszkać. Podobno jest zielone, gwałci i lubi ogórki”. Później zapiski zmieniły charakter, były dłuższe i opowiadały o ciele Andrzeja Goja: „Żebyś mnie widział nago, to jest indiański widok, nie do opisanie nawet przez wieszczki znaków dymnych. Żebyś znał moje łopatki, jedna potrafi się chować i zmieścić się tam piękna kobieca dłoń. Żebyś znał moje łędźwie, jest na nich zapisany czas. Mam tam kilka pieprzyków, jeden chyba zwariował, ale przeżyję, wiem, że przeżyję wielu mocnych”. „Obeźreć się dorodnym koperem, to jest to. Ktoś coś szeptał o metafizyce? To mogą być te momenty, kiedy koper nadaje kroki jelitom. Chciałem zginąć na wojnie, aby kilka kul przeszło moje tanie mięśnie, ale nie ma już dla nas bohaterstwa, ego idzie na wojnę i wraca z gilem u nosa”. Siedziałem na kanapie i czytałem po kolei te szaleńcze notatki. Miałem ich jeszcze czterysta, powtykane w firanki, parapety, sufit. Wiedziałem już, że ten człowiek ma obsesję i może być niebezpieczny, postanowiłem wyprzedzić jego zbrodnicze zamiary.

Wypatroszyłem wszystkie poduszki, oblałem się klejem. Było przed północy, gdy wyglądałem jak białe, wielkie ptaszyczo. Chciałem wykończyć Goja jego metodami. Cichutko wyszedłem z mieszkania i przeszedłem do drugiej kamienicy, gdzie mieszkał. Byłem białym ptakiem w ciemną noc, ale coś zaczęło skrzypieć przede mną. Ktoś cichutko szedł schodami z góry. Miałem dupę w przetyku, ale powoli wdrapywałem się do góry, aż wreszcie spotkałem się z tajemniczą postacią. To był nagi Goj.

– Bruuuuuuuuu – chciałem go wystraszyć, ale on tylko się uśmiechnął i zaczął się onanizować.

– Jesteś seksi ptakiem – zaczął się zbliżać, a ja stopień po stopniu cofałem się przed nim.

– Stary pierdolcu, to ma się skończyć – zdobyłem się na odwagę.

– Co ma się skończyć, miłość między ludźmi, tarcie ciał? – ciągle się onanizował i był coraz bardziej podniecony.

– Koniec z rajdami twoich ptaków. Koniec z listami. Nienawidzę ciebie i twoich 56 centymetrów przy narodzinach. Szkoda, że murzyńscy lekarze cię nie zjedli, jak wyklułeś się z matki.

– Nie mów tak, pomóż mi go trzepać – świeciły mu się oczy, a ja coraz bardziej chciałem go pobić, ale bałem się nadziania na jego penisa.

– Zostaw tego starego chuja, on już nie działa. Po co mi to robisz? Chcę spokojnie pisać swoje opowiadania, gromadzić historie, prowadzić radiostację.

– Jak mi go strzepiesz, to listy się skończą – zaczął wyć, a ja złapałem go pierzastymi rękami i zacząłem dusić.

– Dochodzę, dochodzę, uwielbiam duszenie – puściłem go szybko, a nim rzucały po całych schodach orgazmiczne spazmy, strzyknął kilkakrotnie na swoje ręce i rozsmarował spermę na twarzy.

Uciekłem. Potem długo wspominałem tę noc. Goj był najstraszniejszym człowiekiem na świecie i nie wiedziałem, jak go powstrzymać. Byłem zupełnie rozbity. Nie mogłem skończyć pierwszego rozdziału o dziewczynce imieniem I. Zeszyt zniknął. Wiedziałem już tylko, że musiała wstać rano, tak jak wszyscy. Pięknie się umalować i wyjść z werwą do miasta. Byłaby w parku, urządzie, muzeum, ale wszędzie zostawiałyby

siebie. Te cienie. Postaci. Podróbki. Zaczęłyby żyć, a co najgorsze robiłyby to lepiej niż ona, co mocno by ją zmartwiło i wróciłaby smutna do domu, patrząc przez okna, jak wiele jej wersji załatwia zwykłe codzienne sprawy. A później są kochankami, narzeczonymi, dobrymi matkami, sekretarkami, ona stałaby przy oknie i tylko patrzyła. Gdyby nie Goj, to bym wiedział, jak to skończyć, ale ten jego onanizm zupełnie mnie rozbił. Poza tym nie kłamał ze swoimi ciałem. Jak na 53-latkę, ciało miał idealne, co jeszcze bardziej mnie przybiło, bo ja już dawno nosiłem na brzuchu mały bukłaczek.

Dzwoniłem do Gigi, aby się poradzić, co zrobić z Gojem, ale odpowiadał enigmatycznie. Miał mnie chyba w dupie. Siedział na tych studiach i się nie odzywał, pewnie zmienił towarzystwo. Jednak coś tam bąknął mądrego, aby wyrzucić wszystkie kartoteki Goja, wtedy może kłątwa ptaków mnie opuści. Nie lubiłem wyrzucać historii o ludziach, bo przecież je kolekcjonowałem, ale tym razem postanowiłem zrobić wyjątek i wyrzuciłem wszystkie sześćdziesiąt kartek dotyczących Goja, a przed opadnięciem klapy kosza, zdążyłem je opluć.

Było jakby spokojniej. Ptaki latały nad kamienicami, ale nie zbliżały się do moich okien, Goj obkleił swoje szyby gazetami i chyba ostatecznie skapitulował, więc miałem trochę czasu, aby się nad nim zastanowić. Złapałem się na tym, że zacząłem go żałować, a przecież tak cholernie go nienawidziłem. Ten program w człowieku jest okrutny, że gdy zagrożenie mija, potrafi się wybielić nawet najgorszego wroga. Życie pod dyktando mityzacji, tak samo potrafię pomyśleć ciepło o matce i ojcu, a gdybym ich spotkał, wyrwalibyśmy sobie wszystkie włosy z głów.

Coś nagle stuknęło o szybkę, to ptak od Goja wypluł mi liścik na parapet i pośpiesznie odleciał. Spojrzałem w kierunku jego okien, a cholernik zrobił sobie dziurkę w miejscu oka Ala Pacino z plakatu i prawdopodobnie intensywnie mnie obserwował. Posłałem kilka groźnych min i złorzeczeń w kierunku aktora, i otworzyłem liścik: „Chciałem cię bardzo przeprosić za Noc Onana. Nie wiem, co we mnie wstąpiło, zwykle jestem miłym, starszym panem i nie robię podobnych rzeczy. Zaś ptaki, które do ciebie wysyłałem, to miała być moja mała pomoc, bo dowiedziałem się,

że lubisz pisać. Radziłbym ci otworzyć resztę karteczek, bo może tam być wiele pomysłów, które rozłupią niejedną czaszkę. W dowód zgody i dobrej woli podaje ci niezłe zakończenie twojej historii. Niech ta dziewczynka chwilę popłacze przy oknie, widząc tyle swoich wersji, a potem niech pójdzie do pokoju, zapali lampkę i spokojnie puszcza zajączki. Odwiedź mnie dzisiaj o północy, chciałbym cię szczerze przeprosić. Twój Andrzej Goj.”

Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Koniec rozdziału całkiem mi się spodobał, ale takim wężom jak Goj się nie wierzy. W końcu postanowiłem odwiedzić go, ale tym razem na własnych zasadach.

Rozebrałem się spokojnie przed lustrem. Chciałem zobaczyć się nago, bo dawno tego nie robiłem. Wciągnąłem mocno brzuch, ale poducha była wciąż widoczna. Nie chciałem ośmieszyć się przed Gojem, ale musiałem go tym razem zaskoczyć. Mój penis nie prezentował się najlepiej. Myślałem, aby ogolić łoniaki, żeby wydawał się większy, ale rozmyśliłem się, postrzelałem chwilę z palców w kierunku odbicia i ubierając swoje zniszczone, góralskie kaptcie, poszedłem do kamienicy Goja.

Szedłem cichutko po schodach. Nikogo nie było słychać, może Goj naprawdę się zmienił, pomyślałem, ale szybko okazało się, że to podstęp. Stał znów nago i tym razem przy pomocy skarpety szybko walił konia.

– Wiedziałem, że przyjdiesz, też lubisz takie fiki-miki – zaśmiał się do mnie.

– Ty stary kurwielcu, jesteś człowiekiem? Kto dopuszcza do życia takie coś?

– Co, zakończenie się podobało? Moje ptaki cię szpiegują, a teraz się odwdzięcz i zerznij mnie w czoko – wyglądał jak małpa i ciekła mu mordzie ślina – zrób mi korkociąg.

– Co jest z tobą nie tak, człowieku?

– Zgwałć moją kabzę, przyjacielu, proszę cię – oparł się o poręcz i wypiął dupę, a ja podbiegłem i zasadziłem mu szybkiego kopa, ale to był błąd, bo z jego mieszkania wyleciała chmara ptaków. Były tylko pióra, szum i ciche stękanie Goja: „chciałem jak w Grecji... po filozoficznemu... Teraz już zginiemy niezauważeni... Mieliśmy szansę na wielkość... Tylko wielcy robią takie rzeczy...”.

Ptaki wypchnęły mnie z bramy, wpadłem na ulicę. Zauważyło mnie kilka nastolatek i jeszcze długo słyszałem ich metaliczny śmiech.

Nie wchodziliśmy sobie w drogę z Andrzejem Gojem. Gdy zobaczyłem go na ulicy, przechodziłem na drugą stronę. Historie na jego schodach uznałem za sen, ale od czasu do czasu odwiedzały mnie jeszcze jego ptaki, nie prznosiły już żadnych historii. Czasem także, w najczarniejszą noc, widziałem jego czarne oko i siwą skroń patrolujące mnie i mieszkanie. Może po prostu tak musi być, każdy ma nad sobą kruka, to nie jest żaden anioł stróż, tylko czarnuch, który ma ochotę ci dokuczyć i popchnąć cię w ciemne rewiry, spowodować rzeczy, których inaczej byś nie zrobił. Nie ma chyba do niego modlitw powtarzanych codziennie przed snem. Mogą być tylko kombinacje słów, które pozwolą na to, żeby nie był tak blisko, nie na wyciągnięcie dłoni, żeby była pomiędzy wami mała wyrwa, aby był tylko w momentach, kiedy przychodzi po plecach zimny prąd, przybywają pierwsze zimowe wiatry z gór i gdy idziesz sam ciemnym lasem, żeby jego oko było w jednej z dziupli, wielkie, spęczniałe, opite żywicą, aby nigdy z niej nie mogło wyleźć.



## Noc

Nocne roztopy za uchem... Już nieustępliwe małe wodospadziki, pędy strumieni sunęły przez miasto, aby wpaść do rzeki i porozrabiać w jej korycie. Ściany znów zmieniały swoje kolory, z żółtego wieczorem przeistoczyły się różnobarwne mozaiki, wyglądały jak oblane benzyną, mieniły się w potokach światła latarni. W łazience słyszałem coraz wyraźniejsze dźwięki rozbijanych malutkich szklaneczek, a piszczące rury i korek od czajnika, który nagle wystrzelił, skutecznie wygoniły mnie z domu, abym podkrywał noc.

Kruszyłem pozostały lód, moje buty chciały wskoczyć na którąś z kier i płynąć prosto do rzeki. Chłód był już mokry, nikt nie potrafił zapalić zapalki, nieliczni szarzy ludzie chrobotali i chrzęszczeli wraz z piaskiem i sadzą. Śledziłem niektórych, ale szybko ginęli w swoich zakamarkach połykani przez bramy. Kilka żabich oczu chichotało z wnek domów. Ktoś na pewno miał nóż, jeszcze go nie wyjmował, czekał na sam środek nocy, kiedy bezdźwięcznie wybiłaby jej ulubiona godzina, ta spółka była całkiem zorganizowana i miała kilka ciał na sumieniu, bezdomnych psów, podciętych kabli, bezgłośnego świstu, który oddalał błądy dzień.

Zwykłe parkany i kolumny zamieniały się w krogulce, płachty czerni wisały na niewidzialnych kablach. Szedłem już sam ulicą, mijając zapyziałe małe warsztaty, sklepy, których dawno już nie powinno być, wystawy ze sztucznymi kwiatami, poźółkłymi opakowaniami po bombonierek, chińskimi koronkami, kilkoma muchami czekającymi na zmiecenie małą miotełką. Zatrzymałem się przy zakładzie pogrzebowym. Spoglądałem na twarze osób, które ostatnio odeszły, przy każdej był ten sam schematyczny tekścik o żalu i bólu, nie wiedziałem dla kogo jest do robione, dla zmarłego, rodziny, księdza, boga czy świętego spokoju. Spytałem w duchu ich wszystkich o Irmę Pieronek, ale żadna z twarzy nie raczyła mi odpowiedzieć, wykląłem ich i poszedłem dalej.

Zdawało mi się, że pomnik chciał ze mną rozmawiać. Niemieckie in-

skrypcje falowały i musiałem zamykać oczy, aby znów wracały do swojego wiekowego porządku. Wdrapałem się na cokół, poboksowałem chwilę świętego, a później naplułem mu w mordę. Litery na tablicy błędziły w tylko sobie znanych kierunkach, a ja szybko uciekłem na inną ulicę.

Szła przede mną starsza kobieta, nie garbiła się jeszcze, ale chciała już bardzo być w swoim mieszkaniu. Nie wiedziała, kto za nią szedł, ale naturalnie się bała. Mógłby to być każdy, ona trzęsła się przed symbolicznym nocnym zbójcą. Przyśpieszyłem, a ona próbowała być jeszcze szybsza, ale po czasie nie była w stanie wyrównać strat. Sapałem za nią głośno, bo nie miałem już żadnych skrpułów, a ona mimo wszystko starała wymknąć się z lepkiego pościgu.

– Znałaś Irmę Pieronek? – szepnąłem, łapiąc ją za ramię.

– Nie – powiedziała ze wschodnim akcentem, nie odwracając się.

– Musiałaś ją znać.

– Nie znam żadnych twoich dziwek – odwróciła się i spojrzała na mnie. Miała złą twarz, popękana niczym kora, w jednym oku rozpałał się zgorzel. Zląkłem się i pobiegłem na drugą stronę kamiennego traktu.

Doszedłem do rzeki, szumiała złowieszczo, coś co chwilę pluskało, może były to ostatnie zatrute ryby. Nad wodą unosiła się czerwona mgiełka, połykając tlen i zatruwając malutkie brzożki i łopiany. Przeszedłem przez most, miałem nadzieję, że nie ma pod nim przybitych gwoździami kotów. Nie chciałem ich odkrywać. Przeleciało nade mną kilka nietoperzy. Krwista mgła gęstniała, kilka odgłosów zwierzęcego bólu dochodziło z okien kamienic. Ktoś się darł, że już nie wytrzyma i łał tanią wódkę z okna, a ta rozpryskiwała się na bruku. Byłem bliski obłędu i musiałem iść do ostatniego otwartego baru. Przytułku nocnych ludzi.

Wszedłem do zadymionego pomieszczenia. Półmrok rozlewał się po wnętrzu. Usiłowały świecić mętne żarówki, zbierając hordy owadów. Było kilka pomieszczeń, oddzielonych orientalnymi tkaninami, które dzwoniły, gdy się je pokonywało. Usiadłem w czarnym kącie, na ścianach zdjęcia przedwojennego miasta, kilka hełmów, czekanów, znalazł się nawet cep gotowy do użycia przy pierwszej bójce. Słodki, zatęchły smrodek przyczepił się już dawno i nie zniknie dopóki nie wjedzie tam stado buldożerów.

Poszedłem do baru. Barman był w żołnierskiej kamizelce i sypał zebranych przez wieczór żarcikami. Były głównie o Murzynach i zdradzie małżeńskiej. Wąsaty człowiek obok mnie zamówił lane piwo i pięćdziesiątkę wódki. Zrobiłem to samo, aby się dostosować.

– Panie, mam dosyć tych kutasiarzy na górze... Na dole też – zagadnął do mnie, przyjeżdżając po wąsie, jakby chciał zagwizdać.

– Ja mam dosyć tych pośrodku – odpowiedziałem mu nieśpiesznie, wgapiając się w jego wąsy. Część była czarna, część ruda, a jeden kawałek siwy.

– Tutaj się już, kurwa, człowiek nie liczy, tylko mechanizmy – zbliżał się, wydmuchując na mnie kłęby zatrutego dymu.

– Dobrze, że tutaj nie wejdą ich czerwone mordy, że to jest miejsce dla człowieka – rzuciłem i zacząłem przebijać się znów do swojego czarnego kąta, ale wąsacz chciał mnie złapać, a barman przywołać pieprzonym kawałem o czarnoskórych.

– Zostań pan – zajęczał wąsał, trzymając mnie za kieszeń.

– Muszę iść, dziewczyna na mnie czeka – skłamałem i zniknąłem w mroku i oparach.

Usiadłem spokojnie, chyba pierwszy raz tej nocy pojawiły się uśmiechy, zupełny relaks. Myślałem o tym, jak bardzo jesteśmy wykorzenieni. Ubóstwiamy biegających, kapiących, skaczących, sepleniących, srających idiotów i chcemy iść na wojnę sensu pod ich sztandarem i natchnionym wzrokiem. W pustce ziarenko piasku staje się królem, aby rządzić potem legionem pustych głów.

Ktoś rozkręcił szafę grającą. Pierwsze dźwięki i od razu poznałem Chapię Dicka Khozy. Tańczyłem sobie palcami i popijałem barową kombinację żółtego z białym, niedobrego z niedobrym, patrząc, jak pierwsza zjawia mości sobie prowizoryczny parkiet.

Ruszyła jej smukła postać. Była w krótkiej sukience, która pewnie dostała od rodziny z Zachodu, ale ruszała się pięknie, jak podpatrzona dziewczyna na ekranach. Uśmiechała się do pustych lnianych stołów i czasem spoglądała na mnie, przejeżdżała rękami po włosach, dotykała ud, piersi, podwijając sukienkę, aby niewidzialni mogli zobaczyć jej słod-

kie majtki w arbuzy. Przy każdej CHAPICIE dostawała więcej mocy, nabierała smaku, kurażu, wewnętrznych prądów. Patrzyłem na nią z zadowoleniem, ona jedyna chciała zrobić coś więcej z tej nocy, ukreślić z niej biczą, wpuścić w siebie ziarno. Ta noc miała być niezapomniana i długo potem w niej kiełkować.

Przy ostatnich plumknięciach CHAPITY spojrzała na mnie jeszcze raz, odprowadzając palcem jeden niesforny lok i poszła pewnie do toalety, przebijając się przez orientalną bramę. Wypiłem mechanicznie pięćdziesiątkę, skończyłem piwo i ruszyłem za nią. Była w męskim, chyba się pomyliła albo zaczęła grać. Niestety, był to jednoosobowy kibelek, więc siedziałem i patrzyłem na świetlistą szybkę, za którą kotłowały się jej czarne kontury. Podśpiewywała jeszcze i tańczyła na kafelkach. Drzwi się otworzyły.

– Pomyliłaś się – powiedziałem jej.

– Dzisiaj chyba nie ma żadnego faceta, dlatego obydwaj są moje.

– Wychodzisz ze mną – złapałem ją za ramię i udało mi się ją odprowadzić do pierwszej orientalnej bramy.

– Pomyłka, ty wychodzisz ze mną – złapała mnie palcami za nos.

Wziąłem z barku wódkę i kilka piw na wynos, i znowu wlałem się w fatalną noc, dobrze, że tym razem z nią.

Chciała swawolić. Skakała, biegała, mówiła coś o marzeniach. Ja stoicko szedłem przed siebie, a ona jak elektron rozbijała się wokół mnie. Zrywała ogłoszenia, kopała w kosze, darła się do otwartych okien. Złapała mnie za rękę i chciała biec, ale zatrzymała się na pierwszej kupce brudu i piasku. Śniegu właściwie już nie było, ciepłe poddmuchy z gór rozprawiły się z nim w jedną noc.

Dotykałem jej pośladków, piersi nie chciała udostępnić. Właściwie zależało jej tylko na szaleństwie, na niczym więcej.

– Mogę mówić na ciebie Irma? – pierwszy raz spojrzałem jej w oczy.

– Byłam już każdym, więc mi nie zależy – zaśmiała się.

– To gdzie ty byłaś, Irma? Czemu nie zatańczyłaś wcześniej. CHAPITĘ mam w domu – powiedziałem, ale nie odpowiedziała, bo zaczęła się wspinać na kraty, z których po chwili musiałem ją ściągnąć.

– Zostaw mnie, zawsze robię to, na co mam ochotę – znów się zaśmiała i wbiegła do którejś z bram, a ja usiadłem na schodku przed nią i czekałem, aż wyłoni się z czeluści. W oknie naprzeciwko zobaczyłem żółte oko, kapiącą maź z parapetu, ale zamknąłem oczy i wsłuchiwałem się w roztopione z lodu krople spadające z dachów i dziurawych rynien. Ciepłe powiewy pachniały okruciami ze świeżych bułek, niosły dobre wiadomości albo zdradzieckie pierwsze ocieplenie. Popijałem na zmianę piwo i wódkę.

– Jesteś pewnie młodszy ode mnie, a zachowujesz się jak staruch – Irma wskoczyła mi na plecy i zaczęła gryźć policzki i uszy. Wzdrygnąłem się, ale pozwoliłem jej się trochę pogryźć.

– Wiesz, że każdy to suma energii, a ty już jej prawie nie masz – zaurokowała, gdy szliśmy w kierunku mojej kamieniczki.

– Może wolniej ją spalam od ciebie, jeszcze mi starczy na kilka lat.

– Jesteś jak ostatnia kromka z chleba, sucha, smutna, niechciana, ptaki cię pewnie zeżrą.

– Zamówiłem rozszarpanie przez sikorki, trwa 6 tygodni, więc będę miał czas na oswojenie się ze śmiercią.

Szliśmy powoli całą szerokością ulicy. Irma ciągle się darła, szukając echa w bramach, wrzeszczała, że „zima spierdala w podskokach”. Doszliśmy do mojej bramy. Wpadła pierwsza i gdzieś się schowała, piszcząc cicho jak myszka. Gdy ją znalazłem, wpiłem się w jej wargi i ręką docierałem do jej wnętrza. Cycki miała lekko oklapłe jak na swoją żywotność, ale mi to nie przeszkadzało. Stała bezbrinnie bez ruchu, a ja się nią częstowałem. Po chwili złapałem ją rękę i zacząłem ciągnąć do góry po schodach. Drugą ręką penetrowałem jej cipkę.

Wciągnąłem ją na swoje piętro. Odśloniłem jej cycki i wgryzałem się w sutki, wsadzałem jej coraz szybciej palca w cipkę, ale ona jakby się zamykała, zastygała, patrzyła gdzieś w dal. Chciałem ją sprowadzić do klęczek i ją też poczęstować, ale się wyrwała i zaczęła zbiegać w dół. Dorwałem ją na półpiętrze i zacząłem szarpać, i ciągnąć z powrotem, ale darła się „nie chcę, nie chcę”. Nie słuchałem jej, tylko już prawie półnagą, ze zbeczeszczoną sukienką, ciągnąłem do swojej brudnej jamy. Obłapia-

łem ją, gryzłem, szczypałem jak najgorsi na tym świecie, a ona usmarkana prawie niesłyszalnie mówiła „nie chcę, nie chcę”.

Usłyszałem dźwięk otwieranych na górze drzwi i na chwilę puściłem dziewczynę, co szybko wykorzystała i zniknęła w mroku ulicy. Chciałem ją gonić, ale ktoś schodził z góry. Pobiegnęłam w jego kierunku, drąc się na całą kamienicę. Z góry schodził zaspany Bitelow w samych gaciach.

– Co ty, Win, tak drzesz papę? – spytał, trąc oko.

– Spierdalaj, to nie twoja sprawa – podbiegnęłam do niego.

– Co ci jest? Uspokój się – odpowiedział chłodno, a ja złapałam go za chude ciało i kilka razy uderzyłam w głowę, dając jeszcze kopniaki w kościste badyłe, gdy uciekał z wrzaskiem i płaczem do swojego mieszkania.

Chodziłam po klatce od góry do dołu i wyzywałam wszystkich lokatorów, nikt jednak dziwnie nie wychodził i nie otwierał. Rozbiłam piwa i wódkę o którąś ze ścian.

– Skurwysyny! Wyłazić ze swoich betów! Śpicie?! Nie przyśni wam się żaden bóg! Będziecie rano zgrywać porządnym i poprawnym chujów, a teraz śpicie jak tępe dzieci! Pierdolcie się! Mam was dosyć! – kopałam w drzwi i plułam im na wycieraczki.

Włazłem wreszcie do swojego mieszkania. Ściany lekko wirowały, w kuchni chyba szedłem pod górę, kran wyrastał z ziemi, kapał, doprowadzając mnie do szaleństwa. Czerwona kula światła wisiała gdzieś nad sufitem, a gdy wlażłem na stół, zniknęła z drwiącym, metalicznym śmiechem. Ścian chyba już właściwie nie było, rozrastała się na nich maź, zbierałem z niej mech i kawałki robactwa. W łazience słyszałem tubalne dźwięki. Kroki za oknem potęgowały mi się w głowie. Kilka kartek papieru wirowało, aby spaść mi pod nogi. Pomyślałem tylko o wannie i szybko pobiegnęłam do łazienki. Leżało w niej oślizgłe, ciemnozielone cielsko. To była monstrualna jaszczurka, obrzydliwa, pobita. Nie taka piękna jak z bramy.

– Coś ty dzisiaj odjebał? – powiedziała znajomym głosem, ale nie mogłem sobie przypomnieć do kogo należał.

– Wynoś się – kopałam ją w głowę, ale odgryzła się, wrywając mi kawał nogawki.

– Nie próbuj już, śmieciu, bo skończysz z zębami w gardle – już prawie wiedziałem, czym głosem mówiła.

– Idź gdziekolwiek, do kuchni, do pokoju, ale wyłaż z wanny, chcę już spokoju.

– Nigdzie nie idę, to moja wanna, pytam jeszcze raz, co ty ze sobą zrobiłeś? -powiedziała, a ja już wiedziałem, że to był głos pedagogicznej cipy wziętej kiedyś na stopa.

– Zmień głos, kurwa, nie gadaj jak ta pedagogiczna pizda – walnąłem pięścią w wannę.

– Będę mówić właśnie tak i to całą noc, pytam się, jesteś jeszcze człowiekiem?

Nie służyłem jej, usiadłem w kącie łazienki i skamlałem cicho: Wypierdalaj, wypierdalaj...

– Chyba już nie dasz rady, jest po tobie, zawierzyłeś dawno złym rzeczom, już nie wrócisz, wjedziesz w gówno, najpiękniej jak umiesz. Klasycznie się zeszmaciłeś – kontynuowała, ruszając ogonem w wodzie, a ja smętnie służyłem jej monologu.

– Miałeś szansę jak każdy, ale wybrałeś taki fascynujący świat. O Jezu, jaki on fascynujący! Prosta droga do zatracenia. Pasujesz do tego miasta, brudasie. Skończysz jak oni w mieszkaniach bez okien, nie jesteś wcale lepszy ani inny. Jesteś tym, kim widzą cię na zewnątrz. Twój zawieszony świeciek wewnętrzny nikogo nie obchodzi – jaszczura zaczęła palić papierosa.

Nie wytrzymałem i wybiegłem. Pod kranem znalazłem siekiere i po chwili znalazłem się z powrotem w łazience, wymachując bronią. Pierwszy cios wbił jej się w rękę, drugi wyłupał oko, trzeci powstrzymał wachlujący ogon, następne zginęły w jej szlamie, brudnej wodzie, białej otulinie wanny.

Chciałem zadzwonić do Klimiego. Umówiliśmy się, że jak pocujemy, że to już, to do siebie zadzwonimy. Telefon był rozładowany, puściłem się znów na miasto i dorwałem budkę telefoniczną. Udało się wykręcić i za chwilę usłyszałem zaspany głos Klimiego. Zacząłem mówić nieswoim głosem:

– Klimi, wiedziałem, że to przyjdzie. Czuję to od dawna, ale jak już jest, jest gorsze niż wszystko. Klimi, dziecino boska, pomóż!

– Co jest? – odrzekł znudzony, będąc bardziej w śnie, niż na łączach telefonu.

– Jaszczurkę miałem, kurwa, w wannie. Jest tak źle, głowa rozpadnie mi się na milion części, ten śmiech w czaszce, pulsowanie w żyłach. Skrośnie wystrzelą mi jak konfetti.

– Ehe – rzekł Klimi i rozłączył się, a może skończyły mi się impulsy.

Uderzałem do upadłego w budkę, rozbiłem jedną szybkę i wyrwałem słuchawkę. Wbiegłem znów do domu, poślizgnąłem się na śluzie w kuchni i uderzyłem głową w białe kafle. Zatopiłem się w mroku, kilka czerwonych rozbłysków wirowało w kącie oka, szemranie, chrobot, krople wody ustały, zamilkły, przestały się odzywać, a ja zapadłem w bezdźwięczną głuchą noc.



## Nietoperze

Mówiłem z nietoperzami. Mieszkało u mnie ich kilka. Nie wiem, skąd przychodziły. Miały pewnie swoje tunele, przejścia, macice strycho-we, które rodziły ich małe główki. Z początku myślałem, że się ze mnie śmieją. To pewnie przez ich dwa ząbki. Można by je zamienić w zszywacze do papieru albo się nimi nakłuwać dla zdrowia i urody. Nikt mnie już nie chciał słuchać poza nimi. Zasiadałem na drewnianym krzeselku w kuchni, a one grzecznie, mając swoją hierarchie wiszenia, słuchały każdego mojego słowa, wyplwanego, poszarpanego, czasem płynącego rzeką, a innym razem głuchego, zatrzymującego się kilka centymetrów za moimi ustami, aby potem wrócić i żądać ponownego połknięcia.

Długo myślałem, że nie potrafią mówić; są tylko słuchaczami ze swoją wieczną ciemnością przed oczami i echolokacją, ale szybko przekonały mnie, że słowa to nic trudnego. Wstawałem w tamtym okresie bardzo wcześnie. Przed godziną piątą, aby słuchać kwilenia ptaków i wypić siedem przygotowanych wieczorem szklanek wody. To był specjalny zestaw, kupiłem go kiedyś od obnośnego cygańskiego handlarza. Miał ciężkie patelnie, kilka wiewiórczych kitek, które podobno pomagały na potencję, i właśnie siedem szklaneczek. Wydawały mi się takie ładne, szczęśliwe i regularne, że musiałem się skusić. Kilka dni po kupieniu eksperymentowałem z alkoholem. Napełniałem je wódką, bo mieściło się w nich dokładnie 0,7 litra. Piłem później z nich po kolei i kończyłem zarzygany na dywanie albo co gorzej na klatce, gdzie musiałem patrzeć w pełne pogardy twarze sąsiadów. Później piłem tylko wodę, najpierw przegotywałem ją w czajniczku, który już mocno skamieniał, a potem odstawiałem w szklaneczkach na kredens. Tam czekała na mnie do godziny piątej rano, kiedy chleptałem ją haustami, uderzając po wypiciu każdą ze szklanek w stół, jakby była to wódka.

Tego dnia, kiedy odkryłem, że nietoperze mówią, w starych dziurawych kapciach typu góralskiego szedłem do kuchni i usłyszałem stłumio-

ne głosy. Pomyślałem, że to radio, ale radia nie miałem od wielu lat, bo zamieniłem je na zestaw do rozmów na odległość. Radio tylko łapie, a ja chciałem łapać i wysyłać, bo wtedy życie wydaje się owocniejsze. Dałem w zamian za zestaw swojego złotego boomboxa, po którego wyruszyłem kiedyś autostopem do Koszalina, bo objawiło mi się to w śnie. Sen był normalny, tylko czułem podczas niego duże pokłady niewoli. Musiałem zapisywać się na specjalną listę, aby otworzyć lodówkę i tak na każdym kroku. Przyzwyczyliłem się szybko, ale coś zza okna szeptało: „psst, psst, nie daj się już niewolić, tak nie można, człowiek to ptak, a nie pies.” Odszedłem i spytałem, o co chodzi, a to coś odpowiedziało: „musisz się wyrwać, jedź po złotego boomboxa do Koszalina”. W tamtym momencie się obudziłem i już pięć minut później byłem spakowany. Z początku byłem tak zaspany, że nie pamiętałem, czy chodziło o Koszalin, Kołobrzeg czy Lwów, ale wraz z pierwszymi powiewami wiatru znów usłyszałem szepcące głosy „Koszalin, Koszalin” i wiedziałem, co robić, gdzie jest moja droga, mój złoty boombox. Wyruszyłem stopem, bo nigdy inaczej nie jeździłem, nie wiedziałem, jak jest w autobusie lub pociągu, chciałem, aby tak zostało do końca życia. Sądziłem, że tak walczy się o inność.

Oddałem złotego boomboxa, a w zamian dostałem od swojego piętnastoletniego sąsiada zestaw do rozmów dalekosiężnych, czyli dwa kubeczki papierowe i kawał sznurka. Niesamowicie się cieszyłem ze swojego zestawu i myślę, że mam go do tej pory w którejś z szaf. Wracając do porannego odkrycia, to szybko przypomniałem sobie, że nie mam radia, złodziei też się nie spodziewałem, więc to musiały być nietoperze, po prostu to czułem. Zaczaiłem się przy wejściu do kuchni i nasłuchiwałem.

– Po co on leje wodę do tych siedmiu kubków? – zapiszczał jeden z nich.

– Ludzi nie zrozumiesz, mój stary nauczyciel Petrus nazywał ich karłami przesądu. Są więksi od nas, ale wiara w małe rzeczy ściąga ich w dół i są tacy, że mógłbyś ich porwać do dziupli i zjeść. Jego siedem szklanek to klasyczny przykład skarlenia – odezwał się profesorskim tonem prawdopodobnie najstarszy z nietoperzy.

– Tak, on jest mentalnym karłem, tak jak wszyscy ludzie, których

spotkałem, ale miły z niego facet. Pozwala nam siedzieć w swojej kuchni i te jego historie są całkiem niezłe. Wiadomo, Petrusa nie pobije, ale na przykład kawałki o bogu-gruszce, który stworzył kobiety i bogu-sektorze, który stworzył mężczyzn, zapadły mi w pamięć – szepnął kolejny z pierzastych.

– Zdecydowanie się mylisz. Dla mnie był to dowód ostateczny na ich kruchość i małość. Gadają o tych bogach, jakby to miało znaczenie, nie potrafią pojąć, że silniejszy zjada słabszego i koniec filozofii, bogiem jest ten, co ma pełny brzuch. Do tego słyszałem, że oni przeszli z ery wielu bogów do ery jednego boga. Naprawdę nie widzą w tym nic podejrzanego? Jeden z nich wziął strzelbę i zabił resztę konkurencji, aby dostać więcej krwistych baranków? Oni po prostu kochają paplać, a jak się zapowietrzą, to zapisują głupoty na papierze. I potrzebują narratora, więc wymyślili sobie narratora-guru, lepszego od nich. Chyba po to, aby usprawiedliwić swoją małość. Jak nigdy nie będziemy tacy jak on, to właściwie nie trzeba się starać. Pieprzone lenie.

Już dłużej nie mogłem tego słuchać, wbiegłem do kuchni.

– Wy niewidome pierzaste kurwy! – natarłem na nie miotłą i drucianą szcztoką, ale one tylko latały pod sufitem i chichotały. Długo to tak trwało, aż jeden z nich zleciał mi na głowę i na ucho wyszeptał propozycję: „Zorganizujmy wielki pojedynek na historii. Ty kontra Petrus. Stawką jest wieczna wyższość gatunkowa”. Z początku się oburzyłem i zwałem nietoperza pod stół, ale potem przyjąłem wyzwanie, ściskając w akcie zgody ich małe, śmieszne łapki.

Kuchnia była specjalnie przyszykowana. W miejscu dla Petrusa nietoperze postawiły tron, zrobiły girlandy ze zdechłych owadów, a później wszystko osrały i wybarłoczyły. Pomagały im znieawidzone ptaki sąsiada Goja, ale tym razem nie mogłem ich pogonić, bo były gośćmi moich konkurentów. Ja, aby bronić ludzkości, w ostoi człowieczeństwa postawiłem globus i popiersia Sokratesa, Kopernika, Mahometa, Lecha Wałęsy, Hessego, Thompsona, Fantego i Roberta Rybickiego. Wszystko później spryskałem perfumami i wyczyściłem detergentami. Moimi gośćmi była mała Ania, ale nie mogła zostać zbyt długo, musiałem ją odstawić do

Szlafroka do godziny szesnastej oraz emerytowany tłumacz przysięgły z języka czeskiego, Andrzej Garmaryn, czyli mój suchy przyjaciel na udawanym wózku.

Przybył Petrus. Jaki on był piękny! Z początku ukląknęłam przed nim, ale szybko Andrzej i Ania postawili mnie na nogi, nie mogłam przecież witać konkurenta na kolanach. Miał wspaniałe, lśniące futerko, złotą koronę i mądry wzrok. Przywitał się ze mną swoją małą łapką i usiadł na przygotowanym dla niego fotelu. Wtedy poczułam się słabo. Nie mogłam spać podczas dwóch poprzednich nocy, chciałam wymyślić fabułę doskonałą, ale wszystkie myśli uciekały w noc, nic nie chciało do mnie przylgnąć, zagrać ze mną, stworzyć wspaniałą symfonię. Cisza, pot i strach. A jak zawiodę pokładane we mnie nadzieje? Za to Petrus wyglądał tak spokojnie. Biło z niego dostojeństwo, szlachetność, dziki pazur mądrości natury, a ja chyba rzeczywiście karlałam i nie mogłam patrzeć w oczy wspaniałym popiersiom.

Jeden z ptaków Goja wzbił się w powietrze, a reszta zatrąbiła.

– Jest to wielki turniej o prymat gatunkowy – zaczął śpiewem – wielki turniej o prawdę, zderzenie dwóch żywiołów i ich monumentalnych historii. Kto będzie lepszy? Kto na koniec odda hołd przeciwnikowi? Zapraszam was na arcyciekawy pojedynek: człowiek Andrzej Wintro kontra nietoperz Petrus. Rzucę teraz monetą, która wskaże zaczynającego pojedynek.

Struchlałam. Dawno nie słyszałam swojego imienia i nazwiska. Tak, miałem na imię Andrzej, tak jak każdy w miasteczku. Bardzo się bałem. Od zawsze historie przychodziły tak łatwo, jak mgiełka, ciepły deszczyk, ale czy teraz w najważniejszym momencie życia dam radę?

Moneta upadła z brzdękiem. Ja wybrałam orła, na złotówce wypadła reszka, czyli według ustaleń zaczynał Petrus. Odetchnąłem. Miałem jeszcze czas. Petrus przepłukiwał usta źródlaną wodą i przygotowywał swoje małe gardło. Zebrane zwierzęta wiwatowały, a z naszej frakcji odgryzał się tylko Andrzej Garmaryn, bo Ania chyba już zasnęła.

Światła padły na Petrusa. Był piękniejszy niż wszystko, co do tej pory widziałem. Zaczął:

Było to w czasach, kiedy światło miało fioletową barwę, słońce swoją małą trąbkę i wysłużony kaszkiet, a hiszpańskie muchy latały nad lasami. Na skraju jednego z nich, w niewielkim domku, przy strzelistej dzwonnicy mieszkał Mistrz fortepianu. Zaczął na nim grać, aby zagłuszać żółte, metaliczne dźwięki pobliskiej dzwonnicy, która uparcie grała dzień w dzień, gdy nad lasem pojawiały się smużki dymu.

Mistrz fortepianu miał małą, lecz zaradną pomocnicę. Robiła dla niego obiady, prała mu fraki i sprzątała chatkę, nigdy jednak nie pozwalała słuchać jej dźwięków fortepianu. Zawsze gdy zaczynał, kazał jej nakładać na uszy koc, jakby była co najmniej garem z gorącym ryżem. Dziewczynka bardzo pragnęła słuchać słodkich, metalicznych melodii, ale gdy uchylała rąbek koca, on od razu to zauważał i bił ją wtedy brązową, zdobioną lagą.

Był koniec sierpnia, wiadomo, wieczory i poranki coraz chłodniejsze. Na początku września miał odbyć się wielki konkurs fortepianowy w mieście stołecznym, oddalonym o wiele godzin drogi od chatki pod lasem. Mistrz fortepianu był bardzo niespokojny z powodu turnieju. Ćwiczył dzień i noc, ciskał się po domu, wyżywał na swojej małej gospodyni, która marzyła, aby pojechać z nim, ale wiedziała, że będzie musiała zostać i wypatrywać smętnie z okna powrotu swego pana.

To był wielki dzień. Dwóch panów podjechało wozem, aby przetransportować fortepian i mistrza do stołecznego miasta.

– Cholera, ale on ciężki – narzekał jeden z nich.

– Muzyka musi ważyć, ty tego nie zrozumiesz – odrzekł zimno Mistrz.

Jechali przez zaniedbane drogi królestwa. Ludzie mieszkali w lepiankach i łowili małe rybki w zanieczyszczonych rzekach. Mistrz nimi gardził. Chciał, aby zginęli, gdy tylko pstryknąłby palcem.

Rozgrzewał się przed swoim występem. Był faworytem wielu ze wspaniałych gości. Król Nana z uznaniem kiwał głową ze swojej złotej powietrznej kajuty. Zaczął. Z początku melodia płynęła pysznie, każdy jej zakręt, wiraż, zawijas, podbicie, zejście, kaskada, uliczka były piękne. Serca widowni otwierały się i krajały na milion części, aby potem się

znów odnaleźć. Jednak nagle w uszy wszystkich wleciał niepostrzeżenie fałszywy dźwięk. Usłyszał go też Mistrz, który szybko się zląkł i zaczął pocić. Melodia zesłała na psy. Była fatalna. Zderzała się ze ścianą, była zgniatana, zła, gorsza niż burdelowe burleski.

Małe pomocnica w swoim fartuszkach siedziała w ciemnościach. Obok niej ruszały się metalowe, pajęczne nogi, które wydawały wspaniałe dźwięki, a ona czasem ich dotykała, aby były jeszcze lepsze. „On gra jak anioł” – szeptała sobie cicho. Rozpływała się. Nie było już tylko tu i teraz, ale także wszystko było niebem, piekłem, oceanem, była we wszystkim naraz, a zarazem w niczym. „On gra jak anioł” – powtarzała spazmatycznie.

W stronę Mistrza poleciały pomidory. Bardzo się wstydził. Czuł, że umiera. Po takim występie nie chce się już żyć. Król Nana zrezygnowany odleciał swoją złotą kajutą. Wszyscy buczeli i nienawidzili mistrza. Nagle fortepian się otworzył. Na sali zapadła cisza, a z wnętrza wyszła mała pomocnica.

– To było piękniejsze od piękna – wyszeptała do Mistrza, lecz on złapał wycior do czyszczenia klawiszy i przeszył serce dziewczynki. Cicha sala przerodziła się w śmierć dźwięku. Dziewczynka konała, a Mistrz patrzył w niebo. Świat się zmieniał. Coś pękało. Słychać było pioruny, z ziemi wyrastały wielkie budynki. Morza wirowały, słońce odrzuciło swoją trąbkę i podeptało kaszkiety. Las płonął. Dzwonnica milczała, a mały domek zapadał się pod ziemię.

Kuchnię ogarnęła wrzawa. Wszyscy klaskali, nawet ja, Andrzej i zaspiana Ania, która obudziła się tuż przed końcem historii. Petrus był spokojny, najwyraźniej czuł, że mu się udało. Jego bracia piszczeeli przeraźliwie, gryząc firanki i defekując na czubki naszych butów. Małe gąsienice i myszy stepowały na kafkach, aby po chwili przyłączyć się do powtarzanego metodycznie hasła: „Petrus, Petrus!”.

Ptak od Goja znów wzbił się w powietrze. Wrzawa umilkła.

– Po występie nietoperza Petrusa, czas teraz na człowieka Andrzeja Wintro. Jestem ciekaw, jak skończy się ten pojedynek tytanów i kto okaże się tytanem na glinianych nogach. Zapraszam!

To był mój czas. Andrzej Garmaryn złapał mnie za rękaw i porozumiewawczo machnął głową. Ania liżąc lizaka, uśmiechnęła się do mnie. Zwierzaki zadowolone schowały się za plecami Petrusa i puszczały ku mnie spojrzenia pełne pewności siebie i ironii. Nie spodziewałem się, że tak będzie wyglądał najważniejszy dzień w moim życiu, ale zacisnąłem zęby i spróbowałem:

Nazywam się Andrzej Wintro. Jestem człowiek i bywały takie czasy, kiedy się tego wstydziłem. Opowiem historię o grabarzu i jego synu, zamieszkałych w niewielkiej miejscowości, rozlanej po dwóch stronach rzeki. Mieszkańcy często spotykali się na niewielkim, sosnowym moście. Z jednej strony niesiono ogień, a z drugiej wodę. Na samym środku następował syk, a potem wszyscy podawali sobie ręce.

Grabarz mieszkał z synem po prawej stronie rzeki. Po stronie ognia, rzymskich iskier, głów ognisk. Gdy siadali wieczorem przed domem, na nieboskłonie pojawiały się sztuczne ognie przedstawiające to, co każdy sobie wymarzył. Ojciec widział hordy trupów i śmierć, syn bijące mocno serce. Ojciec marzył o trupach i śmierci, bo nikt nie umierał po stronie ognia. Wszyscy odradzali się niczym feniks z popiołów, dlatego nie miał pracy, stos trumien czekał na gości.

W dawnych czasach było inaczej. Ludzie umierali tak, jak im przykazano. Młody, jeszcze wtedy, grabarz miewał odciski od wesołej, żelaznej łopaty. Chodziła ona jak szalona wałka nad spokojną ziemią. Grabarz był dobry w tym co robił, ale nie mógł nauczyć niczego syna, bo nie miał istot, dla których otworzyłaby się gęba ziemi.

Mężczyzna bardzo się smucił, że nie może niczego przekazać synowi, dlatego czasem decydował się na substytut ludzkiej śmierci. Szedł z synem do lasu i łopatami zabijali napotkane sarny, aby później je wspólnie pogrzebać.

– Tylko pamiętaj, synu, to nie jest tak, jak z człowiekiem, człowiek ma duszę, którą trzeba obłaskawić i lekkim klepnięciem łopaty wysłać do nieba – powtarzał mu, gdy grzebali brązowe sarny.

– Tak, ojciec – odpowiadał przejęty syn.

Zwierzęta tylko zdychały, a nie dostojnie umierały, jak czynią to

ludzie. Grabarz dobrze zdawał sobie z tego sprawę i wciąż się smucił, że nic synowi nie przekaze z tajemnego kontaktu między grzebiącym a grzebanym.

Syn smętnie moczył stopy w strumieniu dzielącym dwie części miasteczka. Patrzył na stronę wody, gdzie grabarz wraz z dwoma synami pożerali łopatomy kolejne wzgórza. Oni umierają, bo tego pragną – przemknęła mu w głowie myśl – oni pragną śmierci, może mogliby ją nam podarować – uradował się i przeszedł strumień w bród, stawiając stopę w krainie wody.

Nie wywołał w tej części miasteczka specjalnego poruszenia, mieszkańcy obu części często się odwiedzali i właściwie nikt nie zwracał na niego uwagi. Zachwycał się bryzą wodospadów, tęczami oraz głębokimi na kilometry kałużami. Nagle spostrzegł małą, ładną dziewczynkę, która w kaloszach jeździła po błocie. Poczował, że jest to jego czas. Wziął do ręki kamień i niepostrzeżenie uderzył ją w głowę. Dziewczynka osunęła się i spadła twarzą w wodę. Syn grabarza wziął ją na ręce i niezauważony przeniósł do swojej części świata, świata ognia.

– Niosę śmierć, mam trupa – wydarł się wesoło do ojca, gdy przestąpił progi ich domu – możemy grzebać!

– Jestem z ciebie dumny, synu – stary grabarz uścisnął go.

Łopaty wchodziły miękko w ziemię. Dziewczynka czekała zawinięta w prześcieradle. W miejscu jej głowy biała tkanina zabarwiła się na czerwono. Gdy dół był gotowy, ojciec polecił synowi, aby wziął ją na ręce i sturlał do ziemi, co syn skwapliwie uczynił.

– Teraz najtrudniejsza część, czyli obłaskawienie duszy – rzekł sakramentalnie ojciec, a synowi zapaliły się oczy.

Do ich uszu dobiegła wrzawa, grupa ludzi biegła skrajem rzeczki. „Morderca, morderca!” – wrzeszczała tłuszcza.

– Szybko, musisz obłaskawić jej duszę – szepnął ojciec.

– Ale jak?

– Przyłóż do prześcieradła łopatę, zakręć ją trzy razy i powiedz „du-szo... .



Powietrze przeciął świst żelaza, kula przeszła czaszkę chłopaka. Zatonął się i nieśpiesznie zwalił, razem z łopatą, do przygotowanego dołu, przycgniatając dziewczynkę w czerwonym prześcieradle.

W kuchni zapanowała konsternacja. Nikt się nie odzywał. Miałem ciemno przed oczami. Nie mogłem złapać oddechu. Popiersia patrzyły na mnie i nic nie chciały powiedzieć, a sam nie wiedziałem, czyja historia była lepsza. Nie potrafiłem tego ocenić i spływałem po kuchennych kaflach w sen, marę, aby obudzić się następnego dnia, gdy słońce zajrzało przez okna, a w kuchni, arenie pojedynku, nikogo już nie było. Czystą biel po chwili przycięło czerwone światło, drążąc ból w oczodołach i miażdżąc jakąkolwiek myśl cięciami w mózgu.

## Zniszczenie

Obudziłem się pod wanną. Ból głowy pulsował i ogarniał całe ciało. W białej wannie zobaczyłem szlam i piasek. Nigdy już do niej nie wejść, pomyślałem. Za oknem kolorowe zapachy złowieszczą czerwienią pokazywały miejsca ciepłych placków i rozkładających się kotów. Nie poznawałem mieszkania, należało do kogoś innego, nigdy w nim chyba nie mieszkałem. Kilka miejsc było starannie posprzątanym, co doprowadziło mnie do szału i szybko zniszczyłem porządek w samym zarodku. Zainteresował mnie wiszący przy komputerze mikrofon, nie wiedziałem, jakie miał przeznaczenie. Włączyłem białego blaszaka i zacząłem czytać listy. Wszyscy mnie oskarżali, że ich podobno oszukałem, że wpłacali z miłością pieniądze, a ja odszedłem bez słowa i chyba przestają wierzyć moim historiom. Odpaliłem nieśpiesznie mikrofon i wyłuskałem z chaosu kilka słów:

Mały jelen na srebrzystej łące ma pod dostatkiem świeżej trawy, spienionych strumieni, pomarańczowego słońca. Jest dobry, ułożony i w odpowiednich warunkach można go pogłaskać, ale gdy zabraknie któregoś z elementów, dziczeje, może kopnąć, jego czerwone ślepia przecinają skraje dobra.

Właściwie nie mamy już nic, ktoś nam wszystko ukradł. Albo nie mieliśmy niczego od zawsze. Paradoksalnie nawet tego nie potrafimy sobie uświadomić. Jedynym rozwiązaniem dla człowieka, który nic nie posiada, może być... (kaszlnięcie), wtedy ogrzeje się chociaż w blasku ognia, będzie patrzył na swój chwilowy, najpiękniejszy teatr.

Gdy ręką pojawi się w otworze po raz trzeci, znów pusta i drwiąca, wtedy trzeba ugryźć, złapać ją zębami i wciągać do siebie, aby ujrzeć całą plugawą postać, niech zobaczy, jak ciężko jest po drugiej stronie świata.

Po ostatnim słowie wyrwałem mikrofon i rozkręcając go, uderzałem o ściany, a później cisnąłem nim w okno, rozbijając je z brzękiem. Posze-

dłem do drugiego pokoju, wałało się tam ze sto teczek, chciałem dać im szansę przed ostatecznym występem. Wziąłem papier z pierwszej lepszej i zacząłem czytać:

„– Panie, a co to znaczy chromy? – spytał brudny safandula.

– Chyba chrobry, pajacyku – odpowiedział człowiek w kapeluszu wielkim jak słońce.

Szli, pławiąc się w sepleniącym słońcu, a obok kilka zwierząt jeździło na kolektorach słonecznych, tabletach, telewizorach plazmowych. Człowiek w kapeluszu myślał, że to dobry dzień na parasol i drwił z tych, którzy używali go w deszczu.

– Idziemy grać w karty? – nie ustępował chochlik safandula.

– Moje są już rozdane, Jopku – skarcił go kapelusznik, sycząc na świat i dając bezdomnym ogniska.”

Zdenerwowały mnie jeszcze bardziej te bzdury. Nie wiedziałem, co za kompletny idiota je napisał. Widziałem starą, pobrudzoną zaprawą taczkę na dole i chciałem jej użyć. Przypomniałem sobie o banalnym zeszytiku w gorącej oprawie. Znalazłem go w kuchni, otworzyłem okno i wywaliłem na ulicę. Tuż przed upadkiem na bruk odpadła okładka i polatała chwilę niczym przezroczysty ptasior.

Kopałem w meble, wyrzucałem wszystko z ich wnętrza. Nalewałem do miski wodę i oblewałem nieznanym pomieszczenia i ściany. Wysypałem mąkę i cukier. Nalałem w kąt pokoju, nasrałem do wanny, a później powoli zacząłem znosić kolejne teczki na dół.

Nienawidziłem tego miejsca, odgrażałem się przeklętym ścianom, wyzywałem się z nimi, chciałem ostatecznie je ośmieszyć i się na nie spuścić, ale nie chciał mi stanąć. Po godzinie zrzuciłem wszystkie białe teczki pełne bzdur na szarą taczkę. Ostatni raz zwyzywałem mieszkanie, kopnąłem to, co jeszcze stało i wydarłem się przeraźliwie, aby skazać je i rzucić klątwę na następne kilka wieków.

Szamotałem się z taczką, a wszyscy dziwnie mi się przyglądali. Ulice ruszały się trochę jak ruchome taśmy, spowalniając mnie z każdym krokiem.

– Idę was wszystkich spalić, kurwy – szepnąłem jak wąż do pierwszego napotkanego pijaka, a on tylko zamajaczył za mną. Wydzieriałem się do sklepów:

– Na nic nie zasłużyliście. Zgnijecie dzisiaj razem z ostatnim jęczyciem ognia – zawołałem do zaskoczonej buciary, która podawała komuś sandały, rozmiar chyba 38.

– Tak kończą się wspaniałe historie plugawych miast i ich ludzi – syknąłem do przechodzących nastolatek, ale one zaczęły się śmiać.

Taczka była ciężka. Trochę ważyły masy papieru oblane nicością. Do góry nad miastem zostało jeszcze tysiąc kroków. Drapałem się po policzkach i wyłem w niebo, kilka babć spytało się, czy wszystko ze mną w porządku, ale odgryzłem się, że miały szansę na całuska nieśmiertelności, ale niestety spłoną zaraz na stosie bez sądu, jest to z góry przesądzone.

Pot spływał mi po twarzy, prowadziło mnie czerwone światło. Pierwszy raz je rozumiałem, wkraczałem bez strachu na jego ścieżki. Rozbłyskało tysiącem wulkanów na przepastnym niebie. W lesie nad miastem już widziałem pierwsze płonące czubki drzew, dym dławił mi usta i płuca, ale czułem się wspaniale. Taczkę popychałem ostatkiem sił, wiedząc, że jest już blisko, że zaraz rozprawię się z kartkami, z robactwem wylęgającym się w kamiennych labiryntach, odpocznę w ogniu, otuli mnie czerwone, mokre światło.

Powoli zrzucałem je z taczki, właściwie widziałem tylko czerwień, kamienny ból z tyłu głowy przeistaczał się w błogie unoszenie. Wspaniałe brunatny ogień łykał kolejne ryzy papieru, wierząc w nich dziury jak doskonale ogniste ślimaki, zgniatał, popielił, nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Strzępki zdań ginęły w czerwieni i fiolecie, nikt ich już nie przeczyta, nie było w tym nic wielkiego, zostały stworzone, aby spłonąć. Grube brzuchy i mordy ognia wchłaniały akapity, rozwalaly interpunkcję, nadając własny porządek. W tych wszystkich światach zapanowała wielka pożoga, apokalipsa, biedne stworzone szurze postaci odchodziły wraz z monstrialnym ogniskiem. Słyszałem ich piski, myśleli, że żyją w doskonałej harmonii, w historiach rozpoczętych i skończonych, każdy znał swoje miejsce i bezpieczny wszechświat, gdy był potrzebny, grzecznie się

pokazywał, ale gdy gdzie indziej był wzrok, chował się w niedopowiedzeniach i między słowami, ale tym razem wszystko nabierało nowego kształtu, nie tylko zakończenie zmieniało się, lecz każda nitka, zdarzenie, słowo, dialog, myśl, nabierało ognistych bąbli, szaleńczych wymiarów, aby zaraz zniknąć, zapominając, że w ogóle istniało, że miało do tego prawo, rację jakiegokolwiek istnienia.

Razem z nimi odchodził śmieszny człowieczek, który trawił w ten sposób czas, wszyscy, których groteskowa codzienność posłużyła czemukolwiek, płonął każdy ze światów, a jeźdźcy apokalipsy zobaczywszy, że robota pali się tysiącem rąk, zawrócili, aby nie brudzić własnych i pili kwaśne piwo w tanim barze.

Usłyszałem dziwne wrzaski, pojawiły się pierwsze wyrwy we wspaniałości zniszczenia. Prostoduszne melodie gardeł, chamstwo, które nie rozumiało prawdziwych aktów prawdy i kreacji. Ktoś złapał mnie za rękę. Inne czarne, brudne grabie łapska wrywały z ognia moje białe kartki niczym gorące ziemniaki. Poczulem uderzenie w żebra i ucho, które chyba zaczęło krwawić. Obrócili mnie w stronę miasta i zobaczyłem potok szarych ludzi, niektórzy pierwszy raz wchodzili na tę górę. Mieli zabie oczy, pewnie składali w międzyczasie ikrę. Z tyłu czułem jeszcze purpurę i wspaniałość ognia, ale od nich pachniało morską piwnicą, odrostami ziemniaków, futerkiem szczurów. Mieli przerośnięte nosy, z garbami i naroślami. Ręce suche i przepracowane. Nieproporcjonalne kończyny i klatki piersiowe. W oczach kawałki śmierci, opiłki bezsensu.

Prowadzili mnie przez czarne uliczki, sprowadzili znów do fatalnego, kamiennego mroku.

– Chciał nas spalić! – krzyknął jakiś, wysoki i chudy, zbierając od razu pochwałę i czuły pomruk tłumu.

– To było moje! – spróbowałem się odgryźć, ale dostałem szybko po drugim uchu.

Byli czernią i ropą, która mnie porwała, aby zgładzić, udusić i utopić w swoim brudzie. Potok słów, wyzwisk, pokazywania palcami, kuksańców, złorzeczeń, ust wypluwających węglową ślinę, kresek tabaki, wciąganych i wykasływanych prostą w moją twarz. Mieli zakola, krew na

ustach, chcieli mnie zeżreć, chcieli, aby mnie już nie było, aby mogli spokojnie wrócić do swoich mieszkań, by raczyć się wódką i nocą. Za nami wciąż podążała czerwona smuga, ale skutecznie niszczyli ją kocami, kaloszami, pośpiesznie wylewaną wodą, swoją czernią wylewającą się przez jamy ciała. Latały nade mną złe ptaki, nietoperze, rzeka chciała się wylać i mnie pochłonać, bruk wyrwać się z posad i roztrzaskać czaszkę tysiadcem uderzeń.

Nagle zobaczyłem znajomą, rumianą twarz. Był ostatnią białą struną, która śmigąła wśród czarnych głów. Bitelow prawie wzbil się nad ich brudem i mazią, i włożył mi do ust czerwone jabłko, które szybko ugryzłem, aby za chwilę dostać w mordę i upuścić je na kostkę brukową, gdzie zjedzą je szare buty. Widziałem jego złote oczy promieniujące na wiele metrów, wyszeptałem „przepraszam”, a on chyba zrozumiał to po ruchu warg, bo skinął tylko spokojnie głową, aby za chwilę zniknąć w falach szarości, monochromatycznych bruzdach.

Pchali mnie dalej na rzeź, ale czułem się już różnie. Czułem w ustach smak jabłka i jego podróż w głąb, chciałem obrócić się na drugą stronę, pokazać im serce, jelita, żyły, krew, może wtedy uciekliby w podskokach do swoich mysich nor albo zaczęliby mnie gryźć, dziobać jak szalone sępy. Wyjrzałem w podskoku za horyzont groźnych głów i nabiegłych krwią oczu, i zobaczyłem dwóch walecznych żołnierzy, którzy torowali sobie pięściami drogę. Rozbijali szczury jak dojrzałe śliwki, drylowali ich, wypluwali pestki. Chcieli zatrzymać potok swoimi ciałami, chyba mnie wyrwać z obławy, ale kilkadziesiąt szarych skórek rzuciło się na nich, zatapiając po chwili w sobie, gryząc i poniewierając, słyszałem znajome, najstraszniejsze dźwięki zabijanej zwierzyny wprost z wnętrza dżungli.

Wreszcie gdzieś mnie doprowadzili. Byłem opluty, wytarzany w błocie, bagnie i piachu. Ktoś otworzył żelazne skrzypiące bramy, poczułem smród szczurów, urynę ścian, białą maź klejącą się do twarzy. Ktoś wepchnął mnie do środka i zatrzasnął drzwi. Słyszałem jeszcze tylko ich tumult, głośne śmiechy, a później tańce i pękające butelki wódki.

## To, co zostało z ognia

Na sali piętrzył się mrukliwy tłum, nie mogli się uspokoić, przestępowali z nogi na nogę, pokrzykiwali w kierunku mównicy, aby za chwilę przywitać ogłuszającym wrzaskiem wychodzącego z pomieszczenia obok burmistrza. Ten przywitał się z nimi podniesioną triumfalnie dłonią, aby za chwilę drugą nakazać tłuszczy bezwzględny spokój i mir.

– Wszyscy wiemy, dlaczego się tutaj dzisiaj spotkaliśmy – zaczął niskim, ale nie pozbawionym słodyczy głosem – była wśród nas osoba, która powinna być zauważona wcześniej. Przymknęliśmy na chwilę oko, straciliśmy czujność, a ona wykorzystała to do cna. Będzie to na pewno nauczka dla przyszłych pokoleń, aby stosować wzmożoną, kleszczową prewencję, bo tego typu jednostki trzeba wyłuskiwać wcześniej, o ile to możliwe już w zerówce lub podstawówce. Zgadzą się na pewne rodzaje inności, odstępstwa od normy, jeśli jednak prowadzą one do pozytywnych skutków, budują coś nowego, uczą następnych tak zwanej pozytywnej inności. Jednak gdy idzie ona ku ciemnym stronom życia, nie ma nic wspólnego z obywatelskimi powinnościami, musimy działać z całą mocą i stanowczością. Przykładem skrajnie zdeprawowanej jednostki, która miała zapędy, aby swój gorszący, niemoralny, pozbawiony wartości styl życia promować wśród mieszkańców naszego miasta, był Andrzej W. Osoba karana, nadużywająca narkotyków, czyli mówiąc kolokwialnie, ćpun, wałęsająca się po nocach, niszcząca mieszkania komunalne, namawiająca innych do zachowań tak dalece odmiennych od naszego postrzegania rzeczywistości i dobroci, która powinna tą rzeczywistość zapyłać, a nie niszczyć i palić. Co jest jeszcze bardziej niemożliwe, straszne, wzbudzające we mnie fizyczną do niego niechęć, oczywiście wypowiadam te słowa po konsultacji z naszymi księżmi, jest to, że chciał zbudować coś w rodzaju sekty. Nadawał heretyckie przekazy do bardzo nieodpornych, samotnych i zagubionych istot, wprowadzając je w nastroje antyobywatelskie, szerząc brak odpowiedzialności, zło, niechęć,

marazm, a także namawiał do ataku na osoby pracujące, próbujące żyć w sposób godny. Kolejnym występkiem było zbieranie prywatnych, intymnych historii mieszkańców, a potem w sposób planowy i pozbawiony skrupułów szkalowanie ich, wymyślanie o nich rzeczy niestworzonych, robienie z nich dewiantów, gangsterów, potworów najogólniej mówiąc. W jego mieszkaniu znaleźliśmy także dużo substancji wpisanych na listę substancji nielegalnych. Zaprosiliśmy na dzisiejsze nadzwyczajne spotkanie trzy laureatki konkursów recytatorskich, aby odczytały kawałki wątpliwej twórczości Andrzeja W. z tego, co udało się uratować. Nasze miejskie polonistki, którym serdecznie dziękuję, poskładały do kupy to, co zostało z ognia, i oddały nam do odczytania. Podjąłem taką decyzję, aby każdy mógł się zapoznać z obrazoburczymi historiami tego młodego, lecz doświadczonego w nieprawości, człowieka i dokonał w swoim własnym sumieniu odpowiedniej oceny tych plugastw. Każda z trzech dziewczynek będzie czytać jedną z części. Zapraszam bardzo – burmistrz wznosił triumfalnie dłoń w górę.

Po sali znów rozlała się wrzawa. Ludzie wiwatowali, gwizdali na dwóch palcach, klaskali. Tylko z tyłu stało kilka osób, a czasem któraś z nich wyrzaskiwała hasła typu „wolność, koniec z kłamstwem”, wzbudzając wokół siebie dużą nieprzychylność, a także zainteresowanie czterech mundurowych. Ci jednak nie kwapili się do interwencji, widząc w grupie oporu dwóch olbrzymów w piaskowych mundurach.

Pierwsza, ładna dziewczynka w brązowych warkoczyczkach i mundurku szkolnym wstąpiła na mównicę i zaczęła niesamowitym, chwytającym za sercem głosem:

Dolewała powoli poncz do wszystkich szklanek. To były te z arcorocu, którymi bawiły się jej dzieci, wybierając jedną z nich, aby sprawdzić, na którym spodzie jest większa cyfra. Od wielu lat mechanicznie ruszała rękami, zmieniała cały świat w dwa pokoje, podróżowała po morzach podłóg i dywanach wysp. Jej niebieskie żyłaki świeciły się jak bursztyny, nieroztropny poszukiwacz mógłby złapać młoteczek i szukać w niej kryształów, agatów, opali i prawdziwych wzruszeń.



Po rozlaniu ponczu usiadła na krzeselku i przyglądała się ich ustom, rękóm, odgłosóm, które wymieniali, tak naprawdę się nie słuchając. Na rękách mieli obrączki, na szyjach krzyże, pod garniturami i pięknymi sukienkami coś się czaiło, pewnie niektóre z nich spadną dzisiaj i pokażą się niewłaściwej osobie, a wszystko pod emblematem i artefaktami, którymi tak bardzo lubili się obwieszać.

– Co sądzisz o jakimś koniaczku kochanie, wódeczce – odezwał się do niej jej nalany mąż.

– Jeśli tylko macie ochotę – uśmiechnęła się do nich.

– To przynieś, kochanie, przynieś – rzucił, zapalił papierosa i wrócił do teatru wypowiedanych, ale niesłyszalnych uwag [dalsza część kartki została spalona].

Wracała do domu. Niczego się już nie obawiała. Kiedyś może zaczęłyby się martwić, weszłyby do domu na klęczkach, przez małe drzwiczki dla psów. Później zjadłaby z miski pod piecem, oddała mężowi ciało do rana, aby ją penetrował, napychał ją farszem, zrobił z niej degustatora zwietrzałej kielbacy z białym nalotem.

Weszła zdecydowanie, poszła od razu do ich sypialni na górze. Mąż chrapał przykryty za małą kołdrą, jego wielki pępek chyba pobierał gwiazdną moc, ruszając się rytmicznie razem z brzuchem. Poszła do łazienki po mydło i maszynkę, natarła mydlinami całą twarz męża i szybkimi ruchami zgoliła jego brązowe wąsida. Nawet się nie obudził, chrapał smacznie dalej, buszując w swoich kielbasianych smach [dalsza część uległa spaleni].

Torba była ciężka, ale jej to nie przeszkadzało. Z gór przychodziła życiodajna mgiełka, a ona szła radośnie, prostując sobie ścieżki, dołączając się pojedynczymi gwizdnięciami do wszechobecnego kwilenia ptaków. Wielki czerwony guz słońca pokazywał się za lasem, a ona szła spokojnie, wokół tasowały się wiatry, srebrzysta ślinka rosy pokrywała gałęzie.

Słoneczna recytatorka przerwała na chwilę, aby zaczerpnąć powietrza, a po sali przelała się fala wzburzenia i niezadowolenia. „Przecież ta pizda Kotlarska podcięła mu żyły przed tym, jak uciekła, co on opowia-

da” – ktoś szepnął, a reszta tłumu zgodziła się z głośnym mruknięciem. Tylko z tyłu było słycać wiwatujące przyspiewki doprowadzające resztę do nieopisanego szału.

– Teraz zaczną się już nieprzystające do siebie kawałki – ostrzegła dziewczyna w mundurku i zaczęła ćwierkać:

Oczy z okien wylewały się i chodziły same na sznurkach jak jojo, aby załatwiać codzienne sprawunki, a czasem obijały się o siebie i radośnie się śmiały. Nie mogły się jednak spodziewać tego, co zobaczyły na rynku. Stał na nim różowy szafot zrobiony ze skakanek, gum do żucia, sznurówek i kilometrów bajkowych taśm.

Miał łapy jak kowal, wyłuskiwał bób z zielonego woreczka i pluł skórami w bezdomne psy. Miał kolczyk w kształcie księżycy, a na nosie trójkątne okulary.

– Z czym wy się właściwie utożsamiacie?! – pytał, krzycząc na przechodniów.

– Macie coś, co jest naprawdę?! Nie mówię tutaj o babkach z piasku, ale wspaniałych cywilizacjach, z chwałą, trąbami, w których byśmy się urodzili i płynęli z pełnym przekonaniem na ich dźwiękach.

To był typowy czerwcowy dzień. Słońce urządzało pogoń z wiatrem i buzowało w przysiółkach, podcieniach, małych uliczkach, nadbudówkach. Małe piramidki kurzu wały się pod nogami i kółkami podwójnych, białych, starodawnych wózków. Dzieci w środku musiały sobie coś myśleć, małe plastelinowe usta chciały krzyczeć i zatrzymać kilka słonecznych witraży jeszcze na wiele lat.

Siedział w komórce i cmił papierosa. Czuł swoiste bezpieczeństwo. Jego włochaty przyjaciel położył ciężką, ciosaną głowę na jego kolanach i uśmiechał się niewyraźnie w mroku.

– Z dziewczynami to jest tak, że musisz unikać burz. Jakby ktoś robił prognozy pogody dla kobiet, to byłby milionerem. Kiedyś poczujesz jakąś, przyniosę ci ją tutaj do komórki. Są miłe w dotyku, tak grasujesz po ich oliwkowej skórze, jeździsz, zabierasz tyle dla siebie wspomnień, ale też coś tam im dajesz.

Stanęli naprzeciw sobie o dwunastej na dużym placu przy rzece. Dzieciaki obserwowały tych dwóch wariatów i jadły kiwi z promocji, podśmiewając się z najlepszych scen z wczorajszego serialu. W powietrzu czuć było spaleniznę, a oni wysyłali sobie groźne miny i zaklęcia tworzone zgrabiętymi od mrozu łapami.

Podbiegli do siebie, ściągnęli spodnie, szybko złapali się za swoje namiętności i zaczęli marszczyć nieżywe, senne penisy. – Kto pierwszy obleje drugiego, ten wygrywa, oni tak zawsze o dwunastej robią – tłumaczyła rezolutnie babcia zdezorientowanym dzieciakom.

Dziewczyna odetchnęła głośno, powiedziała, że to koniec jej kwestii i zeszła z mównicy wśród widowni, która nie wiedziała, jak się zachować. Chcieli nagrodzić oklaskami ją, a nie bzdury, które czytała.

Na mównicę weszła druga, trochę grubsza, ubrana wyzywająco, co szybko skomentowało kilku mężczyzn.

– Dzień dobry, moja część to już swoista impresja naszych kochanych polonistek, które ze spalonej miazgi spróbowały mimo wszystko coś odtworzyć.

Zaczęła milutko, lecz chyba zbyt chrapliwym głosem:

Winni czy niewinni, czarować przestać – powiedziała niegramatycznie nowa koleżanka w klasie, wrywając się dwóm chłopcom w brązowych kurtkach. Wszyscy się nad nią zastanawiali. Nie wydawała się bystra. Patrzyła zawsze na czubki swoich startych butów i szła nie wiadomo gdzie. Podobno łatwo było ją przygarnąć, a potem skakać na jej ciele, gdy ona wpijała się w plecy obgryzionymi paznokciami i wgapiła się w sufit...

– To chyba o Kaśce – ktoś zaśmiał się na sali.

Jeśli w pewnej erze rodzi się jeden święty, ja już go spotkałem. Niech zapijaczona morda jego ojca utopi się w rynsztoku pełnym benzyny, niech chłopak odetchnie, uwierzy w swoje możliwości, ale on nie jest z tych budujących cierpliwie skrzydła. On chce więcej łańcuchów i szarych kamieni, a później skoczyć do kanału i cierpieć za wszystkich. I tak

go skrzywdzą, mówiąc, że to dla jego dobra. Ubierzcie mu zielony strój modliszki, niech rozdaje ulotki na zatłoczonej ulicy, potem dojada spody od pizzy. Dajcie mu kobietę już w ciąży. On nie będzie się skarżył. Możecie go nawet truć ręciją, a potem zabić. Śmiało, nie będzie miał pretensji.

Pazur kota przejeżdżał po jej żyłach, rozdrapywał wnętrze. Taka się już urodziła, z dwoma małymi kotami, które w niej dorastały. Raz gdy z nią rozmawiałem, z policzka wyłonił się mały pazur. Pytałem ją zmarzwiony, co to było, ale nic nie chciała odpowiedzieć.

Granatowy woźny wychylał się przez okno, porozdzielał kartki z gazety i puszczał je na wiatr. Wysyłał tylko strony z dobrymi wiadomościami.

Może ktoś znudzony na nocnej zmianie czuł się samotny i chciał wezwać kilka duchów z rynien, podmurówek, starych jaszczurczych pomniczków, wielu warstw kurzu, kocich łbów, gościńców, asfaltu i betonu...

Bo w każdym mieszkaniu była wielka, dorodna krowa, po prostu nie do ruszenia. Żarła dywany i firanki, srała i nic nie można było z nią zrobić.

W kawie widzieli sporo, atak nitek na morze. Trujące parzydełka zabrały go do siebie, udusiły go, a tyle wiedział. To jest marnotrawstwo, i teraz będzie musiał się urodzić dzieciak i wiele lat czytać to, co on. Chujowy boże, widzę, że znasz się na ekonomii.

Chciałem go uściskać. Może nawet zgodziłbym się na seks udowy z nim. Ściany były z jadalnego, dobrego szkła. Smakowały jak paluszki. Nie było ostrych krawędzi. Agrałki, pierdolizdy, śrubokręty, kocie noże na pewno nie zrobiły nikomu krzywdy.

Siedział smętnie na ławce. Jeden niebieski potwór odkręcił kurek i uraczył go mokrą salwą prosto w penisa, a później przejechał po jego żebrach, kończąc na zakrwawionych wargach.

Łasił się pod drzwiami, chciał wyjść i się pobawić, kto by pomyślał, że chce umierać. Okrąg życia ukradli wczoraj mali złodziejaskowie, chodzą do szóstej klasy i próbowali już marihuany. To oni go zabili?

Zginał starszy z bohaterów, a on bardzo się ucieszył, bo sądził, że przed młodym jeszcze tyle życia, a stary już pożył swoje, a ja kompletnie nie mogłem zrozumieć jego sposobu myślenia.

Recytatorka odetchnęła, a sala coraz bardziej zaczęła się niecierpliwić. „Co to ma znaczyć? – ktoś krzyknął do polonistek w pierwszym rzędzie. „Tylko tyle zostało z ognia” – jedna z nich próbowała się bronić.

Tłum znudzony i znieczepliwiony powoli opuszczał salę. „Miało być coś o nas, a to jakieś pierdoły!” – krzyknął wysoki mężczyzna, odgrażając się burmistrzowi.

– Proszę zostać, proszę zostać, jeszcze jedna z dziewczynek – zajęczał mistrz ceremonii, opadając później ze zrezygnowaniem na krzesło.

Drużyna z tyłu sali była coraz bardziej słyszalna. Przejęli sferę dźwięków i żądali uwolnienia Andrzeja W., dopiero ośmiu funkcjonariuszy było w stanie poskromić chudego chłopaka, eleganta w koszuli, dwóch żołnierzy olbrzymów i suchego staruszka na wózku. Wyprowadzili ich na dwór.

– Chuja mnie obchodzi ten koleś – powiedział zdenerwowany burmistrz do trzeciej czekającej dziewczynki, patrząc na pustą salę. – Chciałem coś zorganizować, a oni wychodzą przed czasem, pieprzona swołocz. Daj mi to lepiej – dystyngowany pan zabrał trzecią kartkę i z obrażoną miną także opuścił salę.

Burmistrz siedział w wygodnym fotelu przy skrzącym się kominku. Lubił swoje nowe kaptcie i ruszał w nich dawno nie obcinanymi paznokciami. Popijał brandy albo whisky. Wyjął z kieszeni trzecią zagarniętą na sali kartkę.

## Czy Andrzej Wintro umrze?

Obudziłem się w mroku. Mikroskopijne światełko majaczyło kilometry za miastem w ramce starego okienka z kratami. Małe przeciągi przejeżdżały pośpiesznie po podłodze i ścianach, które były mokre od wilgoci i wylanych w tym miejscu łez. Na podłodze panowała czerń, pluskwiaki tańczyły swoje tańce grupowe, wzywając miłośniczych panów podziemia. Wymacałem w ciemnej szarości spróchniałą ławeczkę, wlałem na nią, złapałem się rękami pod kolana i jak smutny kruk czekałem na poranek.

Gdy przejeżdżałem dłońmi po najbliższych kartach ścian, wyczułem wyżłobione napisy i malunki tych, którzy byli tu przede mną. Uznałem, że dawać temu miejscu cokolwiek od siebie nie miało sensu. Zapisywać swoją egzystencję? Nie, wtedy mroczny loch by wygrał. Nie chciałem także zasnąć, śnić tam, gdzie oni mi przykazali oddawać siebie w bezbronny, dziecięcym wizjonerstwie. Najlepsze było trwanie w bezruchu i udawanie, że mnie nie ma, niezgoda na fizyczną obecność.

Zamykałem oczy i błądziłem po jasnych korytarzach. Tylko biel, sukno, niewidzialne uśmiechy kobiet. Głowa podgrzana jasnym ogniem wciąż chciała wracać do obrazów zniszczenia, źrenice w gorączce ciągle zmniejszały się, zwiększały, wybuchały i widziały czerwień w każdym kącie przekłętej pułapki.

Byłem w półśnie i odwiedzały mnie kolejne postaci. Istny szwadron mądrali o nieznanym twarzach, mówili, że już nie żyją, że tylko powaga zapewnia im życie wieczne, patos podgrzewa i wykuwa kolejne pomniki, kołowrotki, zwodzone mosty, chrzęsty lin, śpiewy w katakumbach, wszystko to na ich cholerną część, i żebym już zaczął się wewnętrznie balsamować, aby zmumifikować śmiech, barwy, wystrzał z korka, pogoń chartów, endorfinę i chochle rozlewającą rosół na talerze. Odganiałem ich wachlarzem szybkich ruchów, a oni obrażeni wychodzili, przenikając przez ściany, nazywając mnie bubkiem zakochanym w ciele.

Przy jednej nodze ławki sterczał zardzewiały gwóźdź. Wyrwałem go,

łamiąc sobie paznokcie i rozrywając skórę na palcach. Był niewielki, ale wciąż mógł zadziałać. Podeszedłem do najbliższej ze ścian i niezgrabnie wyryłem „Irma Pieronek”. Chciałem, żeby siedziała tutaj ze mną, rozświetlała te mordercze kazamaty. Od razu poczułem się lepiej, jeżdżąc powolutku po każdej literce jej świętego imienia i nazwiska.

Lepiłem się do ścian, spadałem na podłogę, kopałem w ławeczkę, później się na niej kładłem. Mocny ból z tyłu głowy szarpał mną jak pacynką, ręce i nogi były poddane innej koordynacji. Myślałem o pierwszym kocie, biegałem za nim, tocząc się niezgrabnie, a on jak małe straszdyło czepiał się firanek i prychał. Była też huśtawka na drzewie, z której skakało się prosto w olbrzymie paprocie.

– Przecież nic się nie stało – powiedziała ochoczo matka.

– Muszę się stąd wynieść – rzuciłem się po domu, przewracając porcelanowe figurki na szafkach.

– To cześć... – podaliśmy sobie dłonie, po chwili zarzuciłem plecak oraz torby na ramiona i zbiegłem pośpiesznie. Wiedziałem, że matka obserwuje zza firanki, jak odchodzi jej objuczony syn. I płakały wtedy wszystkie matki, zraszając deski, rury, rynny, wprowadzając wilgoć w wiekowe instalacje, które wyrosną kiedyś kwiatem grzyba, polipów i pleśni. Szedłem wtedy po bruku, udawałem, że nic się nie stało, powoli docierając do swojej nowej kamienicy. Nie zauważyłem jeszcze wtedy jaszczurki na bramie, nie znałem dziadka, Bitelowa, żołnierzy, Pascala, mieszkania zmian, kolorów i szaleństwa.

A sama Irma do niczego nie była mi potrzebna. Wystarczył napis, jej odwiedziny to byłby jakiś melodramat, kto wie, czy nie przekląłbym jej, mając pretensje, dlaczego nie przyszła wcześniej. Na pewno o tym wiedziała, więc może przykładała tylko oko do którejś z głębokich dziur w ścianie, obserwowała i bała się ujawnić. Miałem nikłą nadzieję, że przyjdzie. Byłbym dla niej zimny i zły, bo tak zaplanowałem, i musiałbym odegrać swoją kukielkową cepeliadę, aby nie stracić ani krzty sztucznej dumy, dławiąc się z żalu i smucąc, gdy odchodziłaby, skąd przyszła.

Zastanawiałem się, czy umrę wraz z końcem, a był coraz bliżej. Mogłem się w każdej chwili przenieść, być dzieckiem, znów malować ściany

w szalonym mieszkaniu, gadać z dziadkiem, wykraść go z chłopakami na biały mróz, raczyć się czymkolwiek, wyczarować sobie inne ścieżki i rozwiązania, mógłbym się nawet nie otworzyć, a życie byłoby tylko zamkniętą teorią. Koniec był, nie dało się go uniknąć, więc skoro jest, to od początku byłem skazany na zamknięcie, będę taki sam, jak przed otwarciem, skazany na dodatek przez brak umiejętności i niechęć do happy endów, bo to niby takie banalne, na odejście bez fajerwerków, suspense, morału, doskonałej puenty. A potrzeba mi tak niewiele, jedna kochana, wymarzona pętla określiłaby cykl mojego życia, pływałbym w niej jak szczupak i nigdy nie kończył, ale niestety także w trybie warunkowym, bo muszę być mimo wszystko otworzony, ale nie biorę za to żadnej odpowiedzialności... Jak miło się tylko unosić, ale liczę na uratowanie chociaż kilku chwil, momentów i słów z piekielnego ognia.

Ranek chyba nadchodził, pierwsze pomruki różowego światła wyszły na ekranie szpitalnego okna. Sen chciał mnie dopaść, wtedy by mnie mieli. Bałem się u nich śnić. Jeśli bym się poddał, wczepiliby się we mnie, włali coś, co zostałoby już na zawsze, pływało jak freon, dusząc, wymazując, nadając mojemu życiu ich paskudne wartości – bezpieczne, kochane, gotowe jak układanka w dwustu częściach.

Powoli słabłem, różowe plamy nieba odbijały się na posadzce, pokazując jej pęknięcia, załamania, dziurki. Załamywał się obraz, ściany gotowały się przy minusowych temperaturach, ostatnie blaski zamknięcia, cisza, końcowe ukłucie bólu, potem coś jakby relaks, a głowa wysłała mnie całkiem gdzie indziej. Było dobrze, spadł pierwszy śnieg, w zieleniaku przy rzeczce nie mieli marchewki, dlatego poszliśmy do drugiego, wsiedliśmy na sanie i sunęliśmy po białej wykładzinie do naszego pięknego domku pod lasem.



## **Spis treści**

**Pożegnanie domu rodzinnego 5**

**Las Vegas Polano 14**

**Panie 23**

**Przepowiednie radiowe 31**

**Kolekcjoner historii 38**

**Wilk dubstepowy 45**

**Żołnierze 53**

**Śnieg 59**

**Impreza kamieniczników 67**

**Ptaki Andrzeja Goja 75**

**Noc 81**

**Nietoperze 89**

**Zniszczenie 98**

**To, co zostało z ognia 103**

**Czy Andrzej Wintro umrze? 110**